Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1892. Rok XV.




PRENUMERATA ROCZNA: marek 5 złr., 5 rs. 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

# Z ŁOWIECKIEJ PRZESZŁOŚCI

napisał

Władysław Spausta.

## VII.

## Bóbr.

Ruś, ta „ziemla wielika i obilna, a narjada w niej niet“, ta Ruś, której dzieje rozpoczynają się łupieżą łowiecką napadających z północy Warego-Rusów, którzy „brali po wiewiórce i popielicy z dymu“, kryła niemniej wielkie bogactwo żeremi bobrowych. Nie podobało się tu księciu Światosławowi, to też ciągnie dalej nad Dunaj, gdzie nie ma zabagnionych puszczy, nie ma obdartych i zubożałych ludzi i opanowuje Bułgaryę (Nestor). Lecz tu śni o bogactwach rozmaitych krajów, a w tem miłem marzeniu nie zapomina i o bogactwach Rusi: „Nie lubo mnie w Kijowie — powiada do swej drużyny — nad Dunajem środek mej ziemi, z zewsząd spływa tu bogactwo, od Greków złoto, tkaniny, wino i przeróżne owoce, z Czech i Węgier srebro i konie, z Rusi ryby, futra, wosk i miód“. Te słowa Nestora charakteryzują przyrodę ówczesnej Rusi, chleba tam brakło, a futra stanowiły główny przedmiot zamiennego handlu. W krajach nad Dnieprem górnym mieszkały plemiona, które od wieków nie trudniły się rolnictwem; łowy i rybołowstwo były głównem ich zajęciem (Nestor). O plemionach nad Oką, Sożem, Dniestrem wspomina Nestor, iż zwierz był u nich nietylko pożywieniem, ale futra były monetą, a dań, podobnie jak dziś jeszcze koczownicze plemiona Syberyi, futrami spłacali. Jadźwingowie szlą poselstwo do kniazia wołyńskiego z prośbą o żyto, którego im brak, a ofiarują mu za to bobry, wiewiórki, kuny czarne i srebrne. Ważny ten artykuł bogactwa krajowego, gony bobrowe, otoczyła „Prawda ruska“ czyli kodeks Jarosławowy jeszcze w XI. wieku nadzwyczajną opieką. W razie uszkodzenia gonów przez niewiadomego, cała gmina ponosiła karę.

W chwili, gdy w Polsce i w południowych częściach ziem ruskich nowe otwierały się źródła dochodów ziemiańskich, przez długie jeszcze czasy, mniej do kultury kwalifikująca się Ruś północna, wśród moczarowatych puszczy kryła podostatkiem gonów bobrowych, z których resztki aż do naszych przetrzymały się czasów.

W XV. wieku były na Rusi gony bobrowe niemal nad każdą rzeczką, strumieniem lub stawem, jak to pokazuje się z kilku tu naprowadzonych świadectw historycznych. Nale-

żące ściśle do rzeczy wyjątki z tychże pozwalam sobie przytoczyć w języku małoruskim, tak, jak w oryginale brzmiały.

W r. 1451 Kazimierz Jagiellończyk, nadając Boreml nad Styrem kniaziowi Konstantynowiczowi, tak w swym przywileju między innymi powiada: „A dalismo jemu sowsim, szto k' tym sełom słuszajet z dawna, z lisy, z dubrowamy, z polmi, stawy i stawiszczy, z krynicami, z potoki, myty i z bołoty i z sinożatiami i z bortnymi zemlami z łowy i z hai, z bobrowymy hony, niczoho na sebe ne wymeniajuczy, a możet to sobi polipszywaty i rozszerywaty i na nowym koreni posadity". A w r. 1450, nadając Horochów z przyległościami Olizarowi Szyłowiczowi, wieś nad dużym stawem, równie jak Boreml w powiecie Łuckim a w wojew. Wołyńskiem, niemal tymi samymi słowy wspomina o wieczystem nadaniu łowów i gonów bobrowych i kończy: „A dalismo jemu i jeho żenie i jeho dietiom i jeho szczetkom i jeho bliznim weczno a neporuszeno".

Tenże sam król, nadając w przywileju Targowicę przy ujściu Ikwy do Styru Nemirze Rezanowiczowi, wymienia również „łowy, hai, bobrowy hony, kak było pri wielikom kniazi Witowte i kak teper Nemira derżyt".

Hostoml nad Irpeniem w przywileju r. 1499 nadaje W. Książę Aleksander Jagiellończyk kniaziowi Iwanowi Daszkowiczowi Hlińskomu: „Ubaczywszy wiernych służb kniazia J. D. H. dajem jemu i jeho kniahyni i ich dietiam i na potom buduszczym ich szczadkom podle Kijewa imienie na imia Hostoml, z zemlami pasznymi i z bortnymi i z sienożatiami i z ozery i z rekami i reczkami i z ich potoki i z bobrowymy hony, i z jezy, z stawy i stawiszczy, z młyny, z bory i z lisy i z ich łowy i łowiszczy, z hai, ladi i z ladyszczy, sowsimy pożytki i dochody i płaty hroszowymi i medowymi, kunicznymi i lisicznymi i sowsim prawom i państwom, szto z dawna k'tym imieniam prysłuchało". (Metr. litew. 192, 151).

Z początku XVI. wieku, bo z r. 1507, przywilej Zygmunta I., potwierdzając jakiś dawny przywilej Aleksandra na rzecz Konstantego Ostrogskiego, mówi nietylko o gonach, ale osobno o bobrowych daninach, a dotyczy wsi Zwiahla przy ujściu Smółki do Słuczy: „...i z mytom i z daniny hroszowymi i medowymi i bobrowymi i kunicznymi i zo wsimy innymi popłatki i podatmi", a nieco niżej „z łowy zwierynnymy i ptasznymy i z łowiszczy i bobrowymy hony". (Metr. litew. 194, 373).

Przywileje te, podobnie jak inne, dotyczące miejscowości nad jakąkolwiek rzeką i jeziorem położonych, wykazują dostatecznie obfitość gonów jeszcze w początkach XVI stulecia na Rusi, tak, że i tutaj spytaćby należało: gdzie ich nie było?

Na tym, dziwnym pod względem geognostycznym pasie kraju, który przerzynają leniwe wody Prypeci i niezliczone jej dopływy, nie trzeba szukać pisanych o bobrach dokumentów, bo żyje on tu jeszcze w żywej tradycyi, a resztki, mimo zmian kulturnych, zdołały się jeszcze utrzymać aż do naszych czasów w pojedyńczych zaułkach tego niegdyś bobrowego raju. W samym środku tej kotliny i dla bobra, tej postnej i do ryby podobnej zwierzyny, było za dużo wody, okolice te kilka razy do roku pokrywały wezbrane rzeki, a tradycye ludu mówią o jakimś oceanie na tem miejscu i o szczątkach okrętów wśród tych błót niezmiernych. Natomiast nieco wyżej położone leśne puszcze, poprzerzynane potokami o leniwym biegu, których brzegi stroiło najwyborniejsze *menu* bobrowego stołu, Polesie głuche, jak go lud nazywa dla odróżnienia od owej zapadłej części kraju, to kawałek ziemi, w którym było dobrze i wygodnie bobrowi, podobnie jak na Podlasiu niedalekiem. Puszcze błotne w Suwalskiem, bagna Druskienickie aż po za Augustowo, jeszcze w chwili obecnej według rządowych wykazów zawierają 26.261 desiatyn bagna, 250.991 jezior, 7.270 rzek i potoków. Koło Tykocina nad Narwią, o którym Gwagnin pisze: „błotami zewsząd ochronione miasto, że do niego przystępu nie masz" — jeszcze bardzo niedawno temu, bo w r. 1868, zadusiły wilki w maju 68 baranów („Gaz. rol. warsz.). Dalej na północ, w właściwej już Litwie, puszcza łączy się z puszczą, rzeczki i potoki przerzynają lasy, podniebie, jakby dla bobra stworzone.

I tu na Litwie gony bobrowe, jako własność i przywilej Wielkich książąt, wielkiej doznawały opieki. Dozór gonów powierzany był poddanym, za co ci uwalniani byli od tak zwanego „dziakla" (Stryjkowski), tj. daniny w sianie. Szlachta litewska uwolnioną została od tych danin jeszcze przywilejem ziemskim Kazimierza Jagiellończyka w r. 1457.

W XVI. wieku począł obowiązywać już statut litewski, a rozdział XIII. a względnie X. tegoż w artykule 9-tym określa obszernie prawa właściciela gonów, i otacza je jako własność prywatną szczególniejszym rodzajem opieki. Stylizacya ustępu o bobrach w statucie każe się domyślać, iż musiano tam zanadto zwierzęta owe tępić, wskutek czego bardzo często następowało zupełne rozpierzchnienie całej kolonii, a pojedyńcze bobry szukały przytułku w gonach sąsiednich, zaczem też szło w praktyce niepokojenie obcych gonów, na co jednak statut nie pozwolił.

Już pierwotny statut Zygmunta I. w rozdz. XIII. art. 9-ym daleko posuwa ochronę gonów: „Kiedy kto ma w czyjej ziemi gony, ma prawo żądać, aby właściciel tego gruntu ani sam, ani ludziom nie pozwolił podorać pole lub korczosianożęć w odległości jednego rzucenia kija". Kultura zatem rolna podporządkowaną tu jest na rzecz spokoju i ciszy gonów, dla ich dobra pozostawiono pas ziemi na rzut kija (?).

Już sam fakt, że gony bobrowe nie były częstokroć przywiązane do własności ziemi, musiał być nie małą klątwą dla nich, jednak i z trudnej tej kolizyi wywiązuje się statut; prawo wypowiada rzecz jasno, chociaż nie bardzo uchwytnymi jednak dla każdego zrozumiałymi słowy, a w chwili, gdy gdzieindziej miecz w okrutny sposób wykonywał sprawiedliwość, a siła była kodeksem, u nas w sposób prymitywny, ale niemniej humanitarny, załatwiały się trudne sprawy ziemiańskiej własności. Poczucie ludzkości zakołatało najwcześniej do otwartej głowy i ciepłego serca Sarmaty. Stąd powstały niektóre zmiany w późniejszych edycyach statutu litewskiego, zmiany, które być może, iż nie wpłynęły zbyt korzystnie na stan łowiectwa, stanowią jednak prawdziwą chlubę naszego prawodawstwa, dowód prawdziwie humanitarnych pojęć, w chwili, gdy współczesne prawodawstwa narodów zachodnich tarzają się jeszcze ciągle w krwawych okrucieństwach i praktykach średniowiecznych.

Okropne musielibyśmy powziąć wyobrażenie o owych wiekach, chcąc je sądzić wedle naszych obecnych pojęć etycznych. Jak w ogóle, tak i w specyalnym tym wypadku, chronometr moralności musi być regulowanym według normalnego zegara wieków. Niespełna w sto lat przed ukazaniem się pierwszego wydania statutu litewskiego, Wielki książę Zygmunt jednego z dwornej czeladzi, zapewne za jakieś łowieckie przestępstwo, czerwono ubranego pomiędzy żubry wpuszcza, wiedząc, że zwierz ten barwy tej nie znosi. Cóż dziwnego, że w wieku XVI. w r. 1538, w pierwszym statucie znajdujemy iście drakońskie, ale dotąd tak zwykłe słowa, w art. I. rozdz. XIII.: „Strzelec, złapany przy zwierzu, śmiercią karany będzie". Lecz jeszcze gorzej było na

zachodzie Europy, skąd według utartego i banalnego frazesu płynąć miała do nas oświata i zasady prawdziwego humanizmu, podczas gdy w samej rzeczy, ogół naszego myślącego społeczeństwa poczynał już pojmować grozę barbarzyństwa w chwili, gdy na zachodzie ponawiano srogie przepisy lub obostrzano prawa barbarzyńskimi dodatkami. W Anglii dopiero za panowania Karola I. złagodzono nieco dawne srogie prawa łowieckie (r. 1632); we Francyi król Franciszek I., osobistość rycerska na tronie, poeta, mecenas sztuk i nauk, wcale nie po rycersku zachowywał się w obec nieprawnie polujących; Henryk IV. w r. 1601 ponowił zaniedbane nieco srogie prawa łowieckie, a za Ludwika XIV. (!) przemawiał Hugo Grotius gorąco za zniesieniem kary śmierci na chłopów, polujących nieprawnie.

Trzecie wydanie statutu w r. 1588 w rozdz. X. art. I. ustanawia za bezprawne polowanie sześć niedziel więzienia. Opinia ogólna, wyrażająca się jeszcze w r. 1554 w oświadczeniu Lutomierskiego, starosty i podskarbiego koronnego, który nie kazał oddawać kłusowników z puszczy Niepołomickiej pod srogą jurysdykcyę obowiązującego jeszcze statutu, bo „nie chce król, aby wtenczas, gdy można karę za zabójstwo człowieka odkupować, aby wilk lub jeleń miał większą wartość jak człowiek“ — opinia ta znalazła niedługo swe miejsce w trzeciej edycyi statutu za Zygmunta III. Mało znany ten czyn Lutomierskiego, czyn urzędnika a przedewszystkiem człowieka niezawisłych przekonań, jak wszystkie dzieła ludzi stojących u wyłomu, odbija jak brylant na tle wyobrażeń, które kierowały ówczesną Europą. Lecz jeszcze w 214 lat po wygłoszeniu zasad zmienionych w III. wydaniu statutu, rząd rosyjski, chcąc uchronić od zatraty żubry w puszczy Białowieskiej, w czasach, kiedy „zabójstwa człowieka już nie można odkupować“, nakazał prawem karę śmierci za zabicie żubra.

Jeżeli pod wpływem stosunków, jakie u nas zapanowały w XVI. wieku, o których wspomniałem już w historyi naszych turów i żubrów, zatracał się gruby zwierz puszczy, to tembardziej oddziałała zmieniona szata ziemi i wygląd jej na szybką zatratę bobra, zwierza przenoszącego się tylko niechętnie w strony dalsze, a ginącego w miejscach swych dawnych siedlisk tem rychlej, iż prześladowano go coraz bardziej, im rzadszym się stawał. Wszystkie oświeceńsze stany, duchowieństwo, szlachta, mieszczaństwo lubowały się w futerkach i szubach bobrowych, a gdy na to nie stało, bodaj w czapkach z tego futra. Byle jaki biedny szlachetka, kryjąc w spód zbyt pospolitą lisiurę, kołnierzem bobrowym paradował, i byle ktoś „kęs bobra do zawojka przyszył“ (Rej) już go i miłościwym panem nazywano. A dopiero cóż mówić o wyniszczaniu bobrów dla stroju, któremu obok prawdziwych działań i tysiączne urojone przypisywano! Owe subtelne środki, które wytwarza misterne laboratoryum przyrody, znali dawni lekarze, a częstokroć za przesądy brane zlecenia dawnych Eskulapa kapłanów w rzeczywistości nie były nimi. Lekarze Struthius i Walenty z Lublina zalecali położnicom sen na skórach żubra, bo skóry te wydzielały silnej woni eteryczny olejek, mocno zbliżony do woni stroju bobrowego, wywierający pewne specyficzne działanie na organizm; to też i użycie stroju bobrowego w rozmaitych formach aż do ostatnich czasów w farmakopei utrzymało się. Dopiero w najnowszych czasach zastąpiono strój bobrowy innymi przetworami chemicznymi, działającymi tak samo, a przystępniejszymi ceną.

„Róg Amaltei“, jakiem było ziołoznawstwo ludu dla farmakopei, dopełniał się rozmaitymi lekami ze świata zwierzęcego, a leków tych dostarczali myśliwi. W szeregu najrozmaitszych środków, którym po największej części wiara ślepa nadawała skuteczność, strój bobrowy zajmował jedno z pierwszych miejsc, miejsce tem trwalsze, o ile lek ten posiadał wartość realną, a szczególnie w chorobach tej połowy rodzaju ludzkiego, która po wszystkie czasy nie była obojętną tej drugiej połowie światem rządzącej. Tu zatem bardzo smutna dla gonów bobrowych otwierała się perspektywa, i jeżeli sama skórka, lub za przysmak uważane mięso, a szczególnie ogon (plusk albo kielnia) były już dostatecznymi do rychłego wygubienia tak łatwo zresztą dającego się wygubić zwierzęcia — to posiadanie stroju dla celów leczniczych, częstokroć podwajające wartość tej zdobyczy, mogło tylko przyspieszyć zupełne wytępienie zwierzęcia i zachęcić całe szeregi takich, którzy w nieprawy sposób niebezpieczne łowy odbywali.

Leżało to już w naturze rzeczy, iż w obec wzmagającej się kultury rolniczej i coraz to zwiększającego się popytu na materyał budowlany, paść musiały ofiarą najpierw lasy nadbrzeżne rzek spławnych; były to bowiem jedyne wówczas arterye komunikacyjne wszelkich produktów handlu wywozowego. Rozwój ten ekonomiczny przyczynić się zatem musiał pośrednio do wytępienia gonów bobrowych.

Wielkie odkrycia u schyłku XV. wieku poruszyły cały świat, czarownej siły metal począł płynąć do Europy, raptownie nastąpiła zwyżka cen niemal wszystkich ziemiopłodów, na małą skalę odbywała się z zachodu Europy wędrówka narodów do owych nowych, w fantastyczną szatę przybranych ziem złotodajnych, zbroiły się z gorączkową skwapliwością coraz to nowe floty, chcąc jak najwięcej skorzystać z dzieła wielkiego bohatera, z wiekopomnego czynu zapomnianego przez współczesnych i w kajdanach więzionego Genueńczyka. Rzadły też odwieczne bory Litwy, głuchy łoskot siekiery rozlegał się nad Niemnem, Wilią, Dźwiną i innymi rzekami spławnymi, Wisła i jej dopływy zawrzały nieznanem dotychczas życiem i ruchem, a technika żeglarska na rzekach doszła do nadzwyczajnego wydoskonalenia.

Gdy codzień jeden okręt odchodził z Gdańska z żytem polskiem do Hiszpanii, przybrzeżne lasy dostarczały materyałów okrętowych kupcom zagranicznym, czekającym nad morzem. To już nie bóbr podgryzał drzewo dla kory i na materyał swych zamków, lecz siekiera zadawała ciężkie lasom ciosy; padały wiekom urągające drzewa, odkrywały się przetrzebione brzegi, na korczowiskach Cerera rozpościerała swe rządy, a gdy bobrom brakło miejsca i pokoju nad brzegiem rzeki rodzinnej, olbrzymy lasów polskich, strojne różnobarwną banderą narodów zachodnich, kołysały się na grzbiecie oceanu, wożąc bądź skarby obcych narodów, bądź wojowników i śmiałych awanturników, goniących za zdobyczą nowych ziem dla swego plemienia. Równina Sarmacka, na której ongi grzęzły w błotnych puszczach hufce w żelazo zakutych najezdników, coraz to więcej zmieniało swą postać, i coraz to więcej odkrywały się pola do popisu najezdczych strategików, których duchem wieszczym przeczuł Jan Kochanowski, widząc, że ta kraina, niemająca zresztą naturalnych punktów obrony, jedynie leśnymi puszczami straszną się stawała dla nieprzyjaciela:

„Tego tam nie wiem, jaką przyjaźń z Niemcy macie,
Albo jako daleko sobie dziś ufacie?
To tylko znam, że na was pilne oko mają,
I co rok, to się bliżej pod was podsadzają.
Kopajcie wy karcz przed się i budujcie stawy,
Wieźcie z borów do Wisły burtnice i ławy,

Palcie lasy na popiół, rąbcie na wańczosy,
Polak od pola rzeczon, pospolite głosy
Rad ujrzę, gdy was poprą, kędy się skryjecie?
Bo ile po was baczę, bić się nie będziecie,
Nie mając ani konia, ani dobrej zbroje,
Pogotowiu ćwiczenia, bez czego złe boje".

Niemniej ważnym czynnikiem w wyniszczaniu lasów, a specyalnie w ciągłem niepokojeniu gonów jeszcze istniejących, było fatalne prawo wrębu, określone artykułem 9. w rozdz. IX. statutu litewskiego: „Kiedy kto ma las zobopólny nie dzielony, a wspólnik własności zechce mieć swoją część lasu przerobioną na pole lub sianożęć, powinien razem z drugimi rąbać kazać, a gdzie się zejdą rąbiący, tam będzie granica."

Jakie skutki to mieć mogło, to już łatwo przewidzieć, a jakkolwiek ustawa ekonomiczna za Zygmunta Agusta starała się tu jakiś ład wprowadzić i prawa wrębu miały być wykupione, jednak wszystko kończyło się tylko na dobrych chęciach, a fundusze i działy między spadkobiercami majątków mnożyły coraz bardziej owe wolne prawa wrębów.

Wiekami zaskarbione bogactwa przyrody kraju w rozmaity zatem sposób ustępowały coraz bardziej; coraz częściej grzbiety rzek dźwigały powalone kolosy puszcz, a obok przybrzeżnych żeremi przemykały niezliczone komiegi, szkuty, półszkutki i t. p., i niedoniszczony zwierz wynosił się w coraz to dalsze ukrycia i tu wśród niedostępnych komeszów, przy niespławnych wodach, zakładał nie nadługo nowe siedziby.

Już za panowania Zygmunta III., skutki gwałtownych zmian w przyrodzie kraju ujawniać się poczęły, dlatego też ludzie, którym nie była obojętną ta zmiana, starali się utrzymać sztuką to, co już na wolności prosperować nie mogło. „Nie było możnego domu, któryby zwierzyńca swego nie miał" (Siarczyński, Obraz wieku Zygmunta III.). Usiłowano tu sztucznie utrzymywać i bobry, i w samej rzeczy w wielu miejscach piękne te chęci uwieńczyły się powodzeniem. Ale nie trwało to długo. Rozgardiasz i nieład wewnętrzny, rozluźnienie administracyi dóbr, i ciągłe zajęcie umysłów czemś innem, w następnym czasie nie dały pola pokojowej pracy, w niedługim przeciągu czasu zwierzyńce uległy ruinie i tylko niepowołani odnieśli z nich chwilową korzyść.

Z bardzo licznych i częstokroć z wielkim nakładem urządzanych zwierzyńców, z których po różnych dzielnicach Polski ledwo nazwy lub mglista pozostała tradycya, przytaczam tu jeden z wielu podobnych przykładów, wskazujący, w jaki sposób zniszczenie tych kosztownych zakładów się odbywało. Jest to historya zwierzyńca w Krzepicach nad Linwartą w wojew. Krakowskiem w pow. Lelowskim. Lustracya w r. 1636 tak się o tym zwierzyńcu wyraża: „Zamnożył pan marszałek Wolski zwierza dostatek, zamnożył też i bobry, był ich dostatek niemały, i teraz jeszcze są, ale niszczeją", a powód tego tłumaczą dalej słowa lustratorów: „Teraz ten zwierzyniec, jako kupił starostwo p. Szampach, bardzo opuszczony, albowiem dopuszczono p. Dzierzanowskiemu i sąsiadowi Slazkiemu wpędzić bydła około sta i było półtora lata; dopiero teraz, dowiedziawszy się o przyjeździe lustratorów, wypędzono je. Napędzono i koni i świni gromadę nie małą za pozwoleniem i najmem Hanusza, Niemca strażnika". Jest tu zatem wszystko, czego dusza zapragnie. Przy takiem gospodarstwie, i w tak miłem towarzystwie, nie dziw, że obmierzło życie bobrowi.

Niemiec strażnik, głodne bydło i konie, i samopaśna świnia dzierzawcy, dokonać mogły prędko zgubnego zniszczenia. Potulne i chylące się do ziemi indywidua, jakie importowano w celu wprowadzenia z nimi także i kultury zachodu, niczego z sobą nie przynosiły, a bardzo dużo wywieść pragnęły. I gdy zawołoka schylał się przed polskim panem, to szukał piasku, by nim oczy zasypać możnemu pryncypałowi.

Zresztą niepokoje wojenne XVII. stulecia kłuciły pokój najdalszych ustroni, gdzie się krył jeszcze bóbr, zewsząd prześladowany. Inwazye szwedzkie i straszne wojny domowe za Jana Kazimierza, całą Rzeczopospolitę poruszyły; od morza do morza rozbrzmiewały okrzyki wojenne, a całe obywatelstwo, zostając pod bronią, popadło w swych gospodarstwach w najwyższy nieład, co także musiało przyczynić się nie mało do zatraty tego, co tylko w resztkach swych pod okiem starannego gospodarza utrzymać się mogło. Naoczny świadek naliczył jedynie tylko pod Sokalem w obozie $^1/_2$ miliona wozów, $^1/_2$ miliona samych woźnic i $1^1/_2$ miliona koni. (Szkice historyczne, dr. Kubala str. 251.).

Smutne dzieje następne, po owej ostatniej gwieździe tryumfu, jaką zaświecił naród w obronie chrześcijaństwa na widowni dziejów Europy, to dalszy ciąg dramatu krwawego. Cały kraj zalali to Szwedzi, to Sasi, to wojska rosyjskie, a z nimi cały tłum obcych panków, goniący za nowymi wrażeniami, których w Polsce można było znaleźć podostatkiem. Walki bezustanne, konfederacye, ruch całego narodu i ciągłe niepokoje w odległych zakątkach, dawały się odczuwać. „Drżał zwierz we mchu i w głębszem chował się ukryciu." Aż wreszcie i ukrycia już nie stało, gdy wśród przepaścistych okolic Polesia, gdzie musiały być jeszcze nietknięte zaułki, zjawił się raptem z swą armią skandynawski bohater, Karol XII., a z wieży kościoła jezuickiego w Pińsku spojrzawszy na okolicę zawołał z zachwytem: „To moje *non plus ultra*!" (Adlerfeld II. 586) Tu zatem, w zapadłej okolicy Polesia, gdzie z rzadka daje się słyszyć dźwięk mowy ludzkiej, gdzie natura zda się sama utworzyła niezdobyty szaniec z wód, bagien, lasów i trzcin dla biednej ludności, któraby poginęła, gdyby nie ryby i raki, i dla zwierza wszelkiego rodzaju—uznał genialny wódz północnych zastępów ów teren za swe wojenne delicye, a krocie stworzeń na tej ziemi i w powietrzu, nie miały się bynajmniej powodu cieszyć z przechodu wojsk szwedzkich przez te okolice.

Karol XII., pojmując znaczenie strategiczne puszcz w swym zwycięzkim od Torunia przez środek kraju pochodzie, zaniepokoił najskrytsze zaułki puszcz mazowieckich. Spokojne dotychczas sadyby od świata całego zapomnianych Kurpiów, puszcze Ostrołęckie i Myszenieckie, ulubione przez bobry brzegi Narwi i Omulewa, zakipiały wrzawą wojenną, a odgłos trąb i kotłów zwycięzkich chorągwi szwedzkich daleko się rozlegał po lasach Mazowieckich, gdzie wyćwiczone wojska szwedzkie doznały haniebnej porażki, od tych „chłopów bez butów", jak kurpiów nazywał król szwedzki.

Gdzie tylko naturalne stosunki na to pozwalały, jeszcze w XVIII. wieku, pojedyńcze bobry nie były wcale rzadkością, natomiast o gromadnych koloniach, o żeremiach i gonach, mało co już słychać.

Jeszcze w r. 1776 wielkie dzieło kulturne Wielkiego hetmana litewskiego, Michała Ogińskiego, przekopanie kanału, łączącego w długości 51 klm. Jasiołdę z rzeczką Szczarą, przez co złączone zostało Czarne morze z Bałtykiem, nie mało się przyczynić musiało do zaniepokojenia całej tej okolicy, gdzie jeszcze z pewnością żeremia bobrów istniały. A trzeba dodać, że przez 28. lat trwały roboty około tego kanału, wykończonym on bowiem został dopiero w 1804 r., już po śmierci swego inicyatora.

W najbliższem mojem sąsiedztwie, na t. zw. kępie Brzezieckiej, którędy wolno płynie dopływ Dniestru, rzeczka Wereszyca, miały w połowie XVIII. stulecia znajdować się żeremia bobrowe. Nie mogłem na pewno sprawdzić chwili, w której one zaginęły, i co właściwie do ich wyniszczenia się przyczyniło, z opowiadań jednak starych włościan i jednego z najstarszych emerytów hrabstwa Komarniańskiego doszedłem do przekonania, że gony te istnieć musiały jeszcze w drugiej połowie zeszłego wieku, jako szacowny zabytek po sławnym Janie hrabi Ostrorogu, który jeszcze u schyłku XVI. wieku dobra te posiadł, ożeniwszy się z Katarzyną Mielecką, wojewodzianką podolską, dziedziczkę tych dóbr. O ile się domyślam, powodem zniszczenia bobrowych gonów w tem miejscu, było coroczne wypędzanie bydła i koni na tę tak zwaną kępę, wśród ogromnych niegdyś stawów, Łówczyckiego, Papierzańskiego i Brzezieckiego, gdy na wieki zawarło się oko wielkiego myśliwego, autora wielu dzieł myśliwskich a przedewszystkiem „Zwierzyńca Komarniańskiego“, i gdy dobra te, przechodząc z rąk do rąk, zmiennych kolei doznawały, przyszedłszy wreszcie w ręce wspomnianego Ogińskiego w 1767, wtenczas, gdy już prawdopodobnie bobrów nie było.

Spuszczenie wymienionych stawów nastąpiło dopiero w 4-tym dziesiątku naszego stulecia, gdy już tylko tradycya o żeremiach bobrowych istniała. Jakie takie jednak wyobrażenia u niektórych chłopów w tej okolicy o bobrach każą się domyślać, iż rozprószone bobry pojedyncze długo się jeszcze błąkały po tej okolicy, stając się przypadkowym łupem chłopstwa, a jeden tego rodzaju wypadek zdarzył się jeszcze w r. 1879, o czem później wspomnę.

Hacquet w podróży swej po Polsce w latach 1791—94, widział w Rodatyczach (niedaleko Gródka) żeremia bobrowe; również niedawno musiały one istnieć i w Gródku, gdzie utrzymała się do dziś dnia pomiędzy dziatwą zabawa towarzyska, w której bóbr najważniejszą odgrywa rolę. W chwili obecnej, jakkolwiek już nigdzie nie znajdują się na ziemiach naszych gony bobrowe w pojęciu dawniejszem, resztki dawnych gonów trafiają się najczęściej w okolicach Bracławia, Pińska, w Turowszczyźnie, w Stachowie w pow. Kobryńskim, w pow. Nowogrodzkim w Szczorsach, a wreszcie w pow. Lidzkim. Lecz jest to zwierz, który po rozbiciu kolonii, po rozpierzchnięciu się plemienia, rozpoczyna życie tak skryte i pustelnicze, iż nigdy nie można o jakiej okolicy z pewnością twierdzić, iż go tam nie ma, pomimo, iż przez długie lata pobytu jego nic nie zdradza. Gdy opinia ogółu ma już bobra za wytępionego, zjawia się znów nowa o jego istnieniu wiadomość. Lata mijają, wszyscy sądzą, że to już ostatni, gdy wtem nagle przypadkowa zdobycz człowieka stanowi znów namacalny dowód jego istnienia, choć nikt nie wie skąd on się wziął, gdzie mieszkał, i czy wkrótce znów podobny nie wydarzy się wypadek.

Wejście do tajemniczej sadyby bobra pokrywa zawsze woda, aby zaś po zamarznięciu wody wyjście było możliwe, urządza przemyślny zwierz tajemniczy otwór i od strony lądu. I w takiej, oku ludzkiemu niedoścignionej podziemnej pustelni, przepędza zwierz długie lata, nie myśląc wcale o zakładaniu komplikowanych zamków zwyczajem swego plemienia, ku czemu zbiorowej pracy całej kolonii potrzeba.

W roku 1830 zabito około Elbląga bobra w okolicy, w której już dawno słych o tym zwierzu zaginął. To samo zdarzyło się w 1838 r. w Rodatyczach. W tym samym roku złowiono bobrzycę przy ujściu Narwi do Bugu, posiadał ją uniwersytet lwowski aż do swej pogorzeli podczas bombardowania miasta. W r. 1842 doniosły warszawskie dzienniki o pojawieniu się bobrów w kilku miejscach na Wiśle i Bugu, a w latach późniejszych, aż do czasów ostatnich, powtarzają się podobne donosy.

W najbliższej okolicy, gdzie, jak już wspomniałem, znajdowały się przed 130—140 laty żeremia bobrowe, widocznie pojedyncze bobry przez długie lata następne stawały się zdobyczą chłopstwa, gdyż jakie takie wyobrażenie o tem zwierzęciu pomiędzy starszymi ludźmi znalazłem. Przez pół wieku wszakże nikt już tu bobra nie widział, a przynajmniej nic o nim nie doszło do wiadomości szerszej, aż wreszcie w r. 1879 włościanin z wioski Świniuszy, Petro Szmotołocha, (żyje dotąd) łowiąc piskorze na dawnem stawisku Papierzańskiem, zabił drągiem zwierzę, którego ani nazwy ani wartości nie znał, a obieliwszy go w domu, mięso wraz ze strojem psom na pożarcie porzucił, skórkę zaś włóczącemu się żydkowi za 4 złote w. a. sprzedał. Skórka ta, przeszedłszy przez kilka pośrednich rąk żydowskich, utonęła wreszcie za 15 zł. w. a., w jednym z izraelickich handlów futer we Lwowie. Rzecz tu w krótkości skreśloną sprawdzałem dokumentnie i doszedłem do przekonania, iż zwierzęciem tem była bobrzyca zupełnie wyrośnięta, a stan jej udowadniał, iż biedaczka ta nie sama tylko reprezentowała w tej okolicy swe plemię. Być może zatem, iż ta historya bobrzycy z roku 1879, którą mi się udało skleić przy pomocy jednego chłopa i czterech braci mojżeszowego wyznania, (wszyscy dotąd cieszą się najlepszem zdrowiem), nie jest jeszcze pieśnią łabędzią bobrów tej okolicy.

W krajach wysokiej kultury próbowano sztucznie rozmnożyć bobry już w ostatnich czasach. W Wörlitz żyją kolonie bobrów pod opieką księcia Anhalt, a książęta Schwarcenbergi sprowadzili do Krumlowa (Krumau) w Czechach, jeszcze u schyłku zeszłego stulecia bobry. Mnożyły się one i prosperowały dobrze pod czujnem okiem administracyi książęcej. Być może, iż zanadto im było dobrze, bo po pewnym czasie rozmnoża tych gryzoniów dała się niekorzystnie odczuwać kulturze rolnej.

W obec ulepszeń i ogromnych postępów w technice agronomicznej, zwierz ten, nie mogąc się pogodzić ze spekulatywnem wyzyskiwaniem ziemi, wkraczał coraz to szkodliwiej w kosztowne dzieła melioracyjne, a podkopując tamy i groble, nadwerężając urządzenia irygacyjne i t. p., wyrządzając psoty, zmusił właścicieli do wydania wyroku zagłady na bobry. W roku 1883 tępiono znów bobry na mocy rozkazu książęcego.

Nie potrzebuję udowadniać, iż bóbr i sposób jego życia nie może się pogodzić z intenzywną kulturą rolną i z wymaganiami, jakie uprawa roli stawia względem ziemi w krajach, które nas na tem polu o wiele wyprzedziły. To pewna jednak, iż w obec wyjątkowych stosunków kulturnych, jakie jeszcze niestety w wielu miejscach kraju naszego się utrzymują, w obec wiekowego zaniedbania, w obec tylko silnie nadszarpanego stanu natury, przedwcześnie zginąłeś na naszej ziemi poczciwy płakso, bo długo jeszcze gospodarka twoja nie mogłaby wyrządzić krzywdy ekstenzywnemu użytkowaniu ziemi, jakie ma miejsce jeszcze w chwili obecnej.

Nie kultura zatem, nie rozumna praca postępu, złożyły się na wytępienie i wygnanie bobra z ostatnich jego kryjówek, ale inne nieszczęsne stosunki. To też żal nam za owymi żeremiami bobrowymi, gdy spojrzymy na ogromne połacie naszej ziemi, na których jakaś sfałszowana Cerera nie może uszczęśliwić mieszkańców, bo obco jej w tem państwie Najad, bo grzęźnie jej rydwan w tych odwiecznych bobra dziedzinach. Chciwa ręka odarła tylko przyrodę z jej boga-

tej i pełnej poezyi szaty, opustoszały i posmutniały jej niegdyś życiem tryskające przybytki, i gdzie chyba ząb czasu pożerał ciała zmarłych, gdzie śmierć jednych budziła nowe życie, dostarczając zapasów siły drugim pokoleniom, gdzie jakby feniks z popiołów zmarłych bujało nowe życie, grupując znów atomy w młodzieńcze kształty, a olbrzymy wegetacyi chłonęły rozłożystymi korony niewidzialne z powietrzni zasoby, — cóż pozostało?

Na grobach olbrzymów rozsiadło się pigmejczyków plemię, bo jemu tylko odpowiada stan szarpanej, a nie ręką rozumnej kultury zmienionej natury. Jestto zastój w przyrodzie, zastój w umysłach mieszkańców, gwałt, którego przyroda długo nie znosi, bo tu wszystko albo do góry się wznosić musi, albo na dół spada. Gdzie w ubóstwie i zacofaniu wszystko, gdzie wszystko w jakiejś z góry mu nadanej zasklepia się formie, tam gnuśnieje duch, gnije i pleśnieje coraz bardziej umysł, upada moralnie człowiek.

To też żal nam za przedwcześnie wytępionymi żeremiami bobrów, i żal nam będzie za utraconym rajem wolnej przyrody aż do czasu, gdy gospodarka w własnej chacie, niedawno dopiero nam dozwolona, zmienić zdoła smutny stan rzeczy. A wtenczas z pewnością nie będziemy tęsknili za tem, co było niegdyś, nie będą łzawić oka dawne tradycye. Szczęście i przyszłość całych mas narodu zatrze swym ogromem wszelkie wspomnienia, szczęście o tyle, o ile je kultura ze sobą przynieść jest w stanie, przyszłość, o ile ją sobie naród zgotować będzie zdolny.

# BORSUK.

U tegoczesnych ludzi najłatwiej psują się nerwy. Targają nimi przedwczesne i zbyt silne wrażenia, niejednostajna a zbyt często wytężająca praca, wreszcie sposób życia po miastach, wśród biur i salonów, których zaiste dzikie Zulusy czy Papuasy nie mają nam czego zazdrościć. Gdy nareszcie stargasz nerwy tak, że cię brzęk muchy rozdrażnia, a skrobnięcie paznogcia po jedwabiu o szaleństwo przyprawia — mówią ci lekarze, że cierpisz na newrostenię, i jako lekarstwo przepisują ci co? — Cichą, prostą, niefałszowaną naturę górską, wraz z zimnymi jej potokami i ozonem powietrza, ze spokojem ciemnych borów i rosą chłodnych poranków...

Na przerafinowaną cywilizacyę — dzikość przyrody — *voilà le remède*. Znali to już eremici z grot nad Kelbem w Syryi, lub nad Cedronem w Palestynie, ci anachoreci, którzy po gwałtownych burzach życia zamykali się w skał szczelinach... Lekarstwo bardzo stare i zawsze nowe, tylko gdy ongi, po gwałtach namiętnej duszy, trzeba było korzonków leśnych, miodu dzikich pszczół i dwudziestu lat samotności — dziś na odpokutowanie grzeszków cywilizacyi wystarczy tusz zakładu hydropatycznego, post od koniaku i wina — no, i innych denerwujących nawyknień na parę miesięcy sezonu letniego. Bo gdy się chłodno zrobi, zdziczały człowiek wraca na łono cywilizacyi, do gazu ulicznego, do telefonów, do kawiarń drugich śniadań, do birbantek nocnych — i znowu targa nerwy, aby mieć co naprawiać.

Tak samo i mnie się zdarzyło. Wysłany na „klimatykę“, wypłukiwałem w górskiej wodzie grzechy cywilizacyi i wygrzewałem nerwową skórę na promieniach niepokalanego słońca. A zasmakowawszy już raz w dzikiem życiu, zapuszczałem się samotnie w knieje i jary górskie, i czasem, nie godzinami, lecz dniami całymi błądziłem po nich. Włosy nie znały nożyczek, ni żelazka fryzyerskiego, wonne mleko górskie zastąpiło porter i „triple sec“, i o mało co, żem nie nawykł do korzonków leśnych.

Raz — a wierzcie mi, że nie był to sen — gdym wracał z całodziennej wycieczki, zapuściłem się w jar dotychczas nieznany, i stanąłem jak wryty przed czemś, co wyglądało na widzenie z bajki, a było przecież najistotniejszą rzeczywistością.

Na nagłym załomie skał, na niewielkiej płaszczyźnie, wiszącej nad brzegiem skaczącego po kamieniach potoku, ujrzałem nagle dziwny, duży dwór wiejski, chowający się resztą zabudowań w ciemnym świerkowym borze, zamknięty długą linią żelaznych, pańskich sztachet na podmurowaniu, obrosłem mchami starości.

Kiedyś wiodła droga do tego dworu, lecz dziś była trawą zarośnięta — wspaniała brama w sztachetach, z zardzewiałymi tarczami herbowymi, nie otwierała się snać dawno na swych wrzeciądzach — w szparach płyt kamiennych rósł chwast.

W chwili, gdym stanął przed tym dworem, oblewał go strugami światła wschodzący księżyc, podczas gdy resztka zorzy wieczornej, przeciskająca się krwawymi promieniami przez gałęzie świerków, lizała rzeźbę kamiennych ozdób dachowych, tu i owdzie porozpadanych. W podwójnem tem oświetleniu wyglądał ów pałac, jak zjawisko senne — fantastyczne linie baroku łamały się w jakiś grymas szyderstwa czy mizantropii, a panująca w koło głucha cisza i zupełna bezludność, czyniła go istotnie pałacem zaczarowanym — zjawiskiem z bajki.

Wtem szelest pobliski wyrwał mnie z osłupienia. Dwie sarny wyszły z głębi, a zbliżywszy się do sztachet, patrzyły na mnie czarnymi, załzawionymi oczyma, jak gdyby dziwiąc się, co robi człowiek w tej pustce. A gdym się im przypatrywał, jak księżniczkom zaczarowanym, kłapnęło coś kilka razy nad moją głową i ozwał się stłumiony głos dzwonka, przypominający dzwonienie, gdy ksiądz jedzie z wijatykiem do konającego...

Dreszcz zimny przeszedł mi po kościach. Nie mogłem zrazu pojąć, skąd ten głos pochodzi, lecz gdym wzniósł oczy ku górze, ujrzałem na słupie bramy sztachetowej puhacza z dzwonkiem na szyi, który kręcił okrągłymi, fosforycznie świecącymi oczami, i kłapał od czasu do czasu drapieżnym swym dziobem...

Było to za dużo na moje niezupełnie jeszcze wyleczone nerwy. Zacząłem się trząść, jak w febrze, a przekonany, że stałem się pastwą strasznej halucynacyi, uciekłem w rozpadliny jaru, byle tylko wydostać się z zaczarowanego koła.

Lecz po kilka dniach refleksya wzięła górę nad strachem przesądnym. Powiedziałem sobie, że nie jest nieprawdopodobnem, aby ów dwór nie istniał w rzeczywistości, i postanowiłem zaczarowane to miejsce zwiedzić w ciągu dnia.

I pokazało się, że dwór naprawdę istnieje, równie pusty jak w nocy, choć widocznie zamieszkany, że pilnuje go oswojony kruk i puhacz, że sarny po parku jego biegają, lecz że jest bezludny i tajemniczy, jak zagadka.

* * *

Zagadki są na to, żeby je rozwiązywać. I ja też rozwiązałem zagadkę, wyszukawszy po kilku dniach gajowego, którego zaufanie umiałem sobie pozyskać. Siadłszy na urwisku nad potokiem, który swym szumem dostrajał się dziwnie do opowiadania, słuchałem, co mi mówił.

— Pan się dziwi, że tutaj tak pusto — rzekł gajowy, pociągnąwszy z lulki. — Ho, ho, nie zawsze tak bywało. Zajeżdżali tu panowie i panie, i — bywało — bawią się całymi tygodniami, a nieboszczka pani, jak malowanie, jak anioł z obrazka, wdziewa długą suknię i siada na konia i sadzi przez jary i łomy, a srebrny śmiech rozlega się od niej w około, jak śmiech dziwożon, co człowieka na szatańskie rozkosze i na zgubę wabią...

Pan, rosły jak smerek, a bujny, a zuchwały na sprawy łowieckie, jeździ, bywało, z panią i patrzy się w nią, jak w obrazek, a potem pocałuje i jedzie dalej w debry i psy ze sfor spuszczać każe, a gdy zagrzmi na rogu, to odgłos niesie dźwięki aż na Węgry.

Tak było lat kilka. A jeżeli ich co markociło, to tylko to jedno, że dzieci nie mieli. Bo i gdzieby tam do dzieci takiej pani, co gibka i smukła jak brzózka, a w pasie tak cienka, żeby ją ślubnym pierścionkiem opasał.

Ale pan sumował sie nieraz, a jak go nikt nie widzi, to, bywało, patrzy się na panią jakby z żalem, a miłośne pragnienie tryska mu z ócz takiem światłem, że jeno powieki przymruża, żeby trochę ogień przygasić.

No, tylko pragnienia niewiasty swoimi chodzą drogami. Kto ją zna, co sobie upodoba? Myślisz, żeś jej nieba przychylił, że już nie ma kątka w jej sercu, gdziebyś nie zaglądnął, a ona upatrzy sobie choćby coś najnikczemniejszego i chytrością zdradę pokryje.

Ot, tam, na tej przełęczy jest poniżej leśniczówka, gdzie stanął do służby praktykant leśnictwa, chłopiec prosty jak świeca, a rumiany na twarzy jak panienka. Dziwo nie dziwo, mogła na niego jaka dziewczyna ze wsi zerkać, ale gdzie tam mu do naszego pana, do tej składności, do tego rozumu pańskiego, co to poznasz z każdego kroku, z każdego mrugnięcia.

A przecież coś sobie nieboszczka pani do niego upatrzyła, i gdy bywało razem z panem na koniach wyjadą, to go odprowadza do leśniczówki, a potem żegna, i gdy w knieje się zapuści, to siada przed leśniczówką dla odpoczynku, a z praktykantem rozmawia i śmieje się do niego i tak mu do ócz zaglądą, że chłopiec, bywało, stoi jak w ogniu i jak pijany się zatacza.

Dobrze się to skończyć nie mogło. My tam, służba, widzieliśmy, co się dzieje, i kręciliśmy głowami, ale cóż my się znamy na pańskich smakach i obyczajach? Żal nam było pana, że się kobiecie daje w pole wyprowadzać, ale nikt nie śmiał ani słowa pisnąć.

Jeno, że oliwa zawsze na wierzch wychodzi...

Pewnego razu, pamiętam jak dziś, było to w jesieni. Panisko dostał zkądeś dowodnego charta. Nie jest to u nas kraj do polowań z chartami, nie daj Boże łatwo kark skręcić w takiej zabawce — to nie łany podolskie. Ale tam na przełęczy, jak na gładkiem siodle, chyli się grunt to w jedne, to w drugą stronę, ale poletka równe, jedno przy drugiem, i jest gdzie koniem pohasać. Wyjechał też pan z chartem na smyczy, a że to ściernie na polu i szkody nie zrobi, wyruszył szaraka z nadbrzeżnych krzaków i puścił charta ze smyczy. Ja byłem z panem, także na koniu, i ruszyliśmy obaj za chartem. Zając gracz, wykręcał nam się tu i owdzie, wreszcie przekicnął przez wał kamienisty i zniknął w ogródku tuż pod leśniczówką.

Dopadliśmy go tam prawie równocześnie z chartem, a gdy pan dojeżdżał, ozwał się krzyk przeraźliwy z okna leśniczówki.

Pan osadził konia na miejscu, sam zaś pobladł jak mur. Jedno spojrzenie w okno powiedziało mu o wszystkiem. pani leżała zemdlona w objęciach swego gaszka.

Pan z obliczem straszliwem skoczył z konia i jak był, z charapem w ręku, poszedł ku leśniczówce. Spojrzał na zemdloną żonę, charapem ciął gacha przez twarz, aż go krew oblała, i nie rzekłszy ani słowa, wrócił do domu.

— I bili się? — spytałem gajowego.

On spojrzał na mnie, jak gdyby nie rozumiał pytania.

— Pewnie się potem z gachem pojedynkowali? — rzekłem tłumacząc się jaśniej.

Gajowy wzruszył ramionami.

— Bić się? Broń Boże! A o co? O ten garnek stłuczony, którego już skleić nie można? Cięcie charapem przez twarz, to i dosyć...

— A ona?

— Gdy pan wrócił do domu, kazał duchem spakować wszystkie rzeczy pani, i suknie i klejnoty, nie zostawił ani szmatki na owinięcie palca i wszystko to wysłał jej na leśniczówkę. Wypłacił całą służbę żeńską i rozpędził, sam się zamknął na rygle i koniec. Oj, słyszeliśmy panie jak płakał, i nie płakał a ryczał, ale się nie pokazywał, aż go ciężka choroba o łoże rzuciła.

Nieboszczka pani i gach zniknęli. Pan tymczasem leżał bez pamięci. Gdy wstał, był już siwy i o dziesięć lat starszy. Schudł, stwardniał, zasuszył się jak schab na wietrze i taki sam jest dzisiaj, choć to już trzydzieści lat z okładem.

W kilka lat po ucieczce pani przychodziły listy, ale pan nawet pieczątki nie odrywał, tylko odsyłał. Potem przyjechała sama pani, biedniątko zmędzniała i zestarzała; osiadła w sąsiedniej wsi i znowu listy przysyła, ale pan ani widzieć ich nie chce.

Przyjechał raz i drugi ksiądz proboszcz, nie wiemy z czem, ale pan chyba musiał wiedzieć, bo bywało każe księdza ugościć, ale mu się sam na oczy nie pokaże.

Nareszcie jęła i czarna, blada postać pani zjawiać się pod sztachetami dworu, ale pan każe rygle od furt trzymać zasunięte, i sam się z pomiędzy dębowych szaf z książkami nie wychyla.

Nareszcie raz, gdy już śnieg spadł po kostki, znalazłem nad ranem biedną, chudą, wynędzniałą panią pod główną bramą ogrodową. Klęczała, oparta o filar, i rękę miała wyciągniętą do dzwonka, ale już była nieżywa, zmarznięta...

Niceśmy panu o tem nie mówili, ale musiał wiedzieć, bo strasznie był blady przez dni kilka, i nocami całymi chodził po dworze, jak duch pokutujący. A chłopak kredensowy opowiadał, że tej nocy, gdy pani umarła, odzywał się długo dzwonek u bramy, ale pan nikomu nie kazał otwierać.

Przyjechał ksiądz. Nieboszczka leżała w mej chałupie. Zbiliśmy trumnę z białych tarcic i wypaliliśmy czarny krzyż na trumnie. Nie było co dźwigać. Lekka była, jak wióro. Pochowaliśmy ot, tam, na brzegu cmentarza, gdzie ta wysoka, biała brzoza swój szczyt z jaru wychyla...

Pan ani na pogrzebie nie był, ani nikomu słowa o tem nie rzekł, i już od tego czasu prawie do nikogo nie mówi. Tylko ze zwierzętami się rozmawia, i dziwo, jak one go rozumieją.

Widział pan puhacza, który lata po świecie z dzwonkiem na szyi? Gdy się wieczór zbliża, to on się przysiada do pana i łasi się, jak kot, a oczami kręci i w oczy panu patrzy, jak gdyby słuchał, co mu pan rozkaże, a potem leci, Bóg wie gdzie, po lasach i paryjach, jak gdyby z rozkazu pana z duchami miał rozmawiać... Albo w dzień, gdy pan ze strzelbą wyjdzie, a puhaczowi każe ptaki ściągać, to ci dopiero widowisko. Nie puhacz to, ale sam dyabeł, jak zacznie się przekrzywiać a dzióbem kłapać, a skrzydła rozczepierzać, gdy ptaki na niego biją.

Swoją drogą, gdyby pan widział w zimie, co się tu w około dzieje! Wszędzie rzucamy poślad i okruchy jadła, i gdzieś z całych gór sypią się sikory, kowaliki, trznadle, gile, jemiołuszki i prawie ci do miski zaglądają, takie to zuchwałe. Pan wyjdzie na ganek i rękę z ziarnem wyciągnie, a owo zaraz się w gałęziach lub na płocie świerkanie odzywa, i ta i owa ptaszyna przylata, kradnie i umyka.

Z ludźmi jużeśmy dawno żyć zapomnieli, ale zwierzęta nas rozumieją.

Co pan powie? W pałacu, w sali jadalnej, wleciała jaskółka przez okno i zaczęła pod sufitem gniazdo lepić. Gdy pan to ujrzał, nie pozwolił już okna dzień i noc zamykać. Słota nie słota, wlatywała jaskółka bez przeszkody do środka. Gdy to inne jaskółki zobaczyły, poczęły także lepić gniazda w sali, i tu spokojnie wywiodły młode. Trzeba było widzieć, jak nasze panisko zasiadło do jedzenia, a tu hurma młodych jaskółek fruwa mu ponad głową, ugania się za muchami, i czasem muchę mu z siwych wąsów chwyci. A ile przytem szczebiotu, bezustannej gawędy jaskółczej, jak gdyby się gromada małych dzieci roiła. Bywało, znikają panu wtedy na chwilę zmarszczki z czoła, i cała twarz się rozjaśnia.

Wydrę łaskawą, co za nim jak pies chodziła, miał także, sarny chowa zawsze w parku i z ręki je karmi, borsukom zrobił norę w ogrodzie, i żyje z nimi za pan brat — a kobiety nigdzie na lekarstwo, i jeśli się gdzie jaka pokaże, to nie krzywdzi, ale każe za dziesiątą górę wyprowadzać, i miejsce po niej wykadzać.

Dziwa, dziwa, mój panie! My tu wszyscy zborsuczejemy, i poczekać tylko, a zaczniemy siercią obrastać i mruczeć i prychać, jak rysie...

* * *

Gajowy nie miał co więcej opowiadać. Wytrzepał fajkę wypaloną na dłoni i podniósł się z kamienia.

Bo też zapadł już był wieczór późny, a księżyc świecił tak samo, jak owego wieczora, gdym dwór zaklęty po raz pierwszy ujrzał.

Ruszyliśmy z miejsca, i szliśmy znowu wzdłuż sztachetów ogrodowych, a gdyśmy wreszcie skręcili na lewo, ku ścieżce w dół spadającej, dotknął gajowy mojego ramienia i wskazał milcząco ku ogrodowi.

Cały bok dworu z wysokim tarasem odsłaniał się tutaj i był właśnie w srebrnym potoku księżycowego światła skąpany. Na tarasie stał mężczyzna wysoki, chudy, sztywny, z siwym, i jak szczotka sterczącym, krótkim włosem, z krzaczystymi, siwymi brwiami, pod którymi księżyc szukał ukrytych oczu. Oczy te były w jeden punkt wytężone. Pobiegłem za nimi, i ujrzałem dwa borsuki, które w ociężałych na pozór a przecież zwinnych ruchach napadały na siebie, przewracając się i gryząc, jak psy, które się bawią.

Był to widok osobliwy, godny zaczarowanego dworu i zdziczałych jego mieszkańców.

Gajowy patrzał jakiś czas razem ze mną, a po chwili, trąciwszy mnie znowu, pokazał palcem po za borsuki, gdzie olbrzymia brzoza ponad horyzont z jaru się wychylała.

— To nasza pani! — szepnął.

Gdzież więc zapatrzył się ten skamieniały odludek? Czy na igraszki borsuków, czy na tę daleką brzozę, która długie, białe warkocze na wiatr rozrzuciła, i w głąb tego ogrodu bezustannie patrzy?

Stał sztywny, milczący, skryty, zdziczały — istny borsuk.

A gdym się spuścił w jar i koło brzozy cmentarnej przechodził, słyszałem szum jej drobnych liści, jak gdyby wyznanie grzechów na spowiedzi, i szept modlitwy i cichą skargę na nieubłagane serca... *St.*

# NA JEZIORKACH WĘGIERSKICH.

Już od lat dziesięciu udaję się zwykle w późnej jesieni z jednym z moich druhów myśliwskich, na rozległe błota i jeziorka w komitacie peszteńskim, ażeby tam na gesi zapolować.

Trzy są gatunki gęsi, które tu głównie się znachodzą tj. gęś zbożowa albo posiewnica *(Anser segetum)*, gęś polna *(Anser arvensis)* wreszcie gęś gęgawa czyli gęś szara *(Anser cinereus)*. Ta ostatnia gnieździ się tu i wywo-

dzi, podczas gdy dwa pierwsze rodzaje gęsi, pojawiwszy się na wiosnę, ciągną ku północy, aby tam gniazda zakładać.

Ludność naszych okolic ma jedno brzydkie przyzwyczajenie. Oto w Wielki Piątek idzie kto żyje na błota, aby szukać jaj dzikiego ptactwa, które około Wielkiejnocy zaczyna już jaja wysiadać. Całe pielesze dzikich gęsi, kaczek i ptaków błotnych, stają się wówczas pastwą tego dzikiego sportu, któremu władze nie umiały dotąd jakoś tamy położyć. Szczególniej jaja czajek są wówczas poszukiwane, gdyż handlarze zwierzyny w pobliskiej stolicy płacą za nie dobrze, jako za specyał, ceniony przez smakoszów.

W jesieni pojawiają się gęsi w większej ilości w pierwszej połowie października i pozostają do końca listopada, a nawet do końca grudnia, jeżeli czas jest łagodny. Skoro jednak jeziorka i stawy pozamarzają, odlatują gęsi w ciągu jednej nocy. Nieraz atoli trafia się, że gdy nastanie odwilż i powłoka lodowa stopnieje, to i gęsi choć na krótki czas wracają.

W ciągu dnia buszują gęsi po polach obsianych i pasą się tu; około południa idą na krótko do wody poić się, wracają jednak na pola, i dopiero wieczorem następuje całymi masami odwrót gęsi na wody, na których już nocują. Ten ciąg wieczorny nastręcza dla myśliwego najlepszą sposobność do polowania, chociaż i ciąg poranny dozwala nieraz dużo ubić.

Chcąc sobie zapewnić bogatą zdobycz, należy już na kilka dni przed polowaniem na jakiej wyspie śród jeziorka wykopać jamę na metr głęboką, ziemię z niej wydobytą usypać w kształcie wału na około, a w środku świeżą słomą wyścielić. Na tak przygotowane stanowisko idzie się z myśliwskiem krzesełkiem w ręku, tak, aby już na pół godziny przed rozpoczęciem ciągu znaleść się na miejscu Nie ma zresztą czasu nudzić się na takiem stanowisku, gdyż kwokacze, biegusy a szczególniej bardzo tu liczne kuligi, ciągną jeszcze przed gęsiami z jednych wód na drugie, i do niejednego z tych brodźców, tak w ciągu dnia czujnych i płochych, łatwo można strzelić.

Lecz zaczyna się zmierzchać; zachodzące słońce oblewa potokiem czerwonego światła trzciny, wodę i wybrzeża, i wnet daje się słyszeć najprzód pojedyncze potem gromadne gęganie nadciągających gęsi. Posiewnica zapowiada swe przybycie brzmieniem „li-li“, gęgawa zaś przytłumionem „gę-gę“. I wtedy rozbrzmiewa kanonada myśliwych, a im więcej stanowisk obsadzonych, tem lepiej, gdyż zmieszane strzałami gęsi kręcą się to tu, to tam, i tem łatwiej pod strzelbę się dostają. Ubite sztuki zabiera się zaraz, jeśli padły blisko, jeśli zaś dalej padły, zbiera się je dopiero po ukończonem polowaniu, a czasem aż na drugi dzień, jeśli się już ściemni. Zresztą woda w owych jeziorkach jest wszędzie płytka, saletrowe dno wód dosyć twarde, można więc i późnym wieczorem bez żadnego niebezpieczeństwa po tych wodach brodzić.

Podobnie ma się rzecz na zasiadkach porannych. Wprawdzie ciąg poranny nie bywa zazwyczaj tak liczny i nie trwa tak długo, ale mając na uwadze lepsze światło i większą pewność strzału, nieraz lepszą zdobycz zyskać można, niż na zasiadce wieczornej.

O wiele uciąźliwszem, lecz pod wielu względami interesowniejszem jest polowanie na gęsi w ciągu dnia. Oto, jak sobie przy tem postępuję i jaki sposób polowania, po długoletniem doświadczeniu, uważam za najwłaściwszy.

Przed świtaniem udają się myśliwi na swe stanowiska i strzelają przy ciągu porannym, poczem każdy z myśliwych siada na chłopski wózek i jedzie brzegiem moczaru, ciągnącego się całymi milami. Płytkość wody i spoistość gruntu dozwalają tu i po suchem i po mokrem przejechać. Otóż wszędzie, gdzie się tylko okiem rzuci, widać tu gęsi, pasące się po zasianych niwach. Lecz zbliżenie się do nich na odległość strzału jest tylko wyjątkowo w dni mgliste lub przy przy odpowiedniej zasłonie możliwe. I w takim jednakże wypadku nie ma pewnych szans ubicia ptaka, gdyż daleki strzał śrutowy natrafia na zbite a silne i elastyczne upierzenie gęsi i często jest całkiem bezskuteczny. Rozumie się że i podjeżdżanie musi się odbywać zręcznie, aby się do pasących gęsi jak najbardziej zbliżyć. Ale z wozu nie podobna strzelać, bo gdy tylko wóz stanie, zrywają się gęsi i odlatują. Już zatem przed zbliżeniem się do nich należy z woza wysiąść i za wozem się do nich podkradać. W danej chwili staje myśliwy, a podczas gdy wóz dalej jedzie, składa się, i gdy go wóz minie i odsłoni, już jest gotów do strzału.

Jeszcze łatwiej można gęsi podejść, jeśli myśliwy w ubraniu pastucha i pośród owiec ku nim się zbliża. Trudno dać temu wiarę, do jakiego stopnia czują się wówczas gęsi bezpieczne. Jeden z mych znajomych podszedł je w ten sposób tak blisko, że dwoma strzałami 9 sztuk gęsi położył. W taki więc, i tylko w taki sposób, można na nie z dobrym skutkiem i poza godzinami ciągu polować. A że gęsi w porze jesiennej, czy to przez wyjadanie świeżo zasianego ziarna, czy przez skubanie wschodzących zasiewów, wielką szkodę rolnikowi wyrządzają, łatwo więc pojąć, że rolnicy i pastuchy chętnie z pomocą myśliwemu przychodzą, aby tylko owych szkodników dziesiątkował.

Jak z tego wszystkiego wypływa, nie należy ów sposób polowania na gęsi do łatwych i bardzo wydatnych, tem bardziej, że nawet dobry strzał śrutowy nie zawsze skutek odnosi. Postanowiłem więc użyć na gęsi sztućca, tem bardziej, że jestem w posiadaniu dobrego drylinga, z którym spodziewałem się prędzej dojść do celu. Ale i to nie jest łatwem, a o trudnościach strzału sztućcowego do gęsi, może tylko ten coś powiedzieć, kto już tego próbował. Szara, piaskowata gleba tak jest swą barwą do upierzenia dzikiej gęsi podobna i tak się z nią w jedną całość spływa, że nie podobna prawie brać pojedyńczą gęś na muszkę; strzał zaś sztućcowy do całego stadka, będzie raz na dziesięć razy trafnym. Próbowałem strzałów takich z karabinka Werndlowskiego, z dobrego sztućca tarczowego i z kulowych luf mego drylinga — i wynik był zawsze niezadowalniający.

Wtem przeszłego roku wpadł mi do rąk katalog broni Henryka Piepera z Liège. Katalog ten podaje między innymi rysunek małej myśliwskiej mitrajlezy, która wydała mi się najstosowniejszą, aby z niej gęsi na podjazd strzelać. I po krótkim namyśle kazałem sobie przysłać ów morderczy instrument. Rozstrzygającymi w tem postanowieniu były daty, podane przez fabrykanta co do rozrzucania strzałów owej siedmiolufowej mitrajlezy. Fabrykant gwarantował, że broń jego, przy strzale na odległość sto metrów, rozrzuca najdalej w obwodzie 75-ciu centymetrów. Fabryka wyrabia mitrajlezy o lufach kalibru 5·6 - i 7·5 - milimetrowego. Pomimo, iż mitrajlezy większego kalibru dość są ciężkie, bo waga takiej broni 4 kilogramy wynosi, obrałem przecież tę większo-kalibrową. Składa się ona z siedmiu lufek, z których jedna jest w środku, a inne sześć wieńcem ją otaczają. Zamknięcie broni jest blokowe; jedno pociśnięcie otwiera zamek, wyrzuca wystrzelone łuski i naciąga kurek. Naboje (kal. 297 angielski), umieszczone na wspólnym krążku, wybuchają naraz za jednem uderzeniem kurka.

Jesto to więc w istocie mitrajleza. Pierwsze strzały, które z niej dałem do tarczy na 100 kroków, zadowoliły

mnie zupełnie. Wszystkie siedm kulek mieściły się na powierzchni zwykłego arkusza papieru.

Wypróbowawszy w ten sposób mój nowy instrument morderczy, czekałem z niecierpliwością stósownej chwili, aby go jeszcze na gęsiach wypróbować. Nareszcie przyszła ta chwila pożądana.

W pierwszych dniach listopada zeszłego roku doniósł mi mój druh myśliwski, że dzikie gęsi pojawiły się w niewidzianej dotąd ilości, i zaprosił, aby przyjechać na nie zapolować. Wybrałem się tedy z przyjacielem moim, podpułkownikiem B. zaraz popołudniu pociągiem kurjerskim, a że to odległość od stolicy niewielka, więc mieliśmy nadzieję stanąć jeszcze na stanowiskach przed wieczornym ciągiem gęsi. Mitrajleza przeznaczoną była dopiero na dzień następny, przy podjeżdżaniu gęsi na polach.

Powietrze było nieco mgliste lecz ciepłe i w ogóle sprzyjało naszej wyprawie. W miarę gdyśmy się zbliżali do celu naszej podróży, widzieliśmy coraz więcej wód rozlewających się wzdłuż toru kolejowego i coraz więcej gęsi. Tu i owdzie pasły się nie dalej jak o dwieście kroków od szyn, i nic sobie nie robiły z huczącego i świszczącego pociągu.

Na stacyi kolejowej oczekiwał nas z końmi syn mojego druha i potwierdził ustnie podaną już listownie wiadomość o mnogości ptactwa. Jakoż z nadzieją jak najpiękniejszego połowu dojechaliśmy do gościnnego domu naszego amfitryona, a niebawem ruszyliśmy na ciąg wieczorny.

W pośrodku dużego jeziorka znajdowały się tam dwie wysepki, gdzie już jamy dla nas były przygotowane. Nasz amfitryon zajął miejsce na brzegu jeziora za kryjącym go pagórkiem.

Niezliczone gromady kaczek uwijały się po wodzie, postanowiliśmy jednak nie zwracać na nie uwagi. Tylko do stadka kuligów strzeliłem, ale niestety, bezskutecznie. W krótce rozpoczął się wieczorny ciąg gęsi. Lecz powietrze wyjaśniło się tymczasem zupełnie, i prawdopodobnie w skutek tego ciągnęły gęsi tak wysoko, że śrutem Nr. 4 nie podobna ich było dosięgnąć. Tylko nasz gospodarz był tak szczęśliwym, że sprzątnął dwie sztuki, podpułkownik zaś i ja musieliśmy się zadowolić dwoma kaczkami.

Słaby ten wynik wieczornej zasiadki ochłodził znacznie nasze sangwiniczne oczekiwania, i dopiero wyborna wieczerza, podlana wytrawnym węgrzynem, poprawiła nam humor. Omawialiśmy warunki polowania na dzień następny, i cieszyliśmy się z góry, że lepiej wypadnie. Dopiero koło północy udaliśmy się na spoczynek z tem postanowieniem, że wstaniemy do rannego ciągu, lecz niestety zamówione fury nie przybyły na czas i musieliśmy porannej wycieczki zaniechać. Pozostało nam więc tylko polowanie na podjazd, a tu spodziewałem się z moją mitrajlezą cudów dokazywać.

Wsiadłszy na wózki, rozdzieliliśmy się natychmiast z podpułkownikiem; on zwrócił się ku zachodowi, ja zaś ku północy.

Po kilkakrotnych daremnych usiłowaniach, udało mi się wreszcie dotrzeć na jakie sto kroków do stada gęsi. Szedłem za wozem, a widząc, że dalsze podjeżdżanie mogłoby już ptaki spłoszyć, kazałem woźnicy dalej jechać, i gdy mnie mijał, huknąłem z mej mitrajlezy. Mechanizm funkcyonował wybornie, wszystkie siedm ładunków wybuchnęły odrazu jak piorun, a gęsi... zerwały się z przerażającym krzykiem i zniknęły mi z oczu...

Ta sama historya powtórzyła się drugi, trzeci, czwarty i piąty raz — zawsze dużo huku a żadnego trupa — tak, że w końcu passye zaczęły mnie porywać.

Po dalszych jeszcze zajeżdżaniach tu i owdzie udało mi się wreszcie pod stadko dropi podjechać, które na rzepaku żerowały. Ot, to dopiero zwierzyna, godna mitrajlezy! Ożywiłem się ich widokiem i zapomniałem na chwilę o niepowodzeniach przy strzelaniu do gęsi. Dalekim łukiem zajeżdżaliśmy dropie i nareszcie zbliżyliśmy się najwyżej na 140 kroków. Tu kazałem znowu woźnicy jechać dalej,: sam zaś stanąłem i odsłonięty nagle, zmitrajlezowałem wspaniałe biegusy.

I cóż myślicie, dużo padło?... Ani jeden...

Zakląłem tedy, posłałem w duchu p. Piepera razem z jego mitrajlezą tam, gdzie pieprz rośnie, i nie wiele brakowało, a byłbym całym tym instrumentem hrymnął o ziemię. Dropie zniknęły w oddali, a że nie było nadziei, aby je odszukać, wróciliśmy znów na poszukiwanie gęsi.

Po drodze uspokoiłem się nieco i począłem przypuszczać, że więcej chyba ręka moja winna, niż nieszczęśliwa mitrajleza. Że zaś droga wiodła nas popod pustą karczemkę, której bielone ściany z daleka widniały, pomyślałem sobie, że wartoby było moją siedmiolufową rusznicę jeszcze raz do celu wypróbować. Jakoż wymalowawszy mazią z osi wozowej trzy kółka wielkości talerza na bielonej ścianie, huknąłem do nich trzy razy z odległości 120-tu, 150-ciu i 200-tu kroków.

I cóż się pokazało? Wszystkie trzy strzały były wyborne, centrowne, lecz przynajmniej o trzy piędzi wyżej ponad celem. To mi wytłumaczyło niepowodzenie strzałów do ptactwa, i dopiero wtedy spostrzegłem, że na mitrajlezie są dwa wizyry, jeden wyższy, na dalsze, drugi niższy, na bliższe odległości, i że ja w pospiechu wyższy wizyr podniosłem i przezeń celowałem. Strzał oczywiście górował, a gęsi i dropie uchodziły zdrowo.

Tymczasem odezwały się dzwony okoliczne na południe. Woźnica mój pomyślał też o znużonych koniach, i nie miał ochoty dalej za gęsiami jeździć, co mnie irytowało, bom przeczuwał, na jakie drwiny się narażę, jeśli wrócę z mitrajlezą a bez zdobyczy. Namową więc i napiwkiem skłoniłem woźnicę, żeby jeszcze tylko raz podjechał ze mną pod gęsi, przysięgając przytem, że już z pewnością panu Bogu szyb nie wybiję. Poczciwy Kumańczyk dał się w końcu namówić i ruszyliśmy znowu na gęsi.

Po niedługiem szukaniu natrafiliśmy na stado, a nieopodal ujrzeliśmy owce i owczarza. Ku trzodzie owiec zwróciliśmy zatem nasze koniki, a gdyśmy tam dotarli, kazałem woźnicy na bok odjechać, sam zaś zmieniłem mój kostyum w ten sposób, żem wdział na siebie kożuch pastuszy, baranem do góry, i stanąwszy wśród owiec, pędziłem je zwolna ku gęsiom.

Im więcej zbliżaliśmy się do gęsi, tem bardziej wzrastała ich liczba, bo co chwila nowe stadka przybywały, łącząc się z pierwotną gromadą. Wreszcie nadeszła chwila, w której dalsze podchodzenie wydawało mi się już niebezpiecznem. Niektóre z pomiędzy gęsi zaczęły wyciągać szyje z niedowierzaniem i zwracały się ku mnie. Wydobyłem tedy mitrajlezę z pod kożucha i strzeliłem do gromady.

No, nareszcie strzał nie był daremnym. Olbrzymia gęś polna została na miejscu, druga wzleciała, lecz po dwudziestu krokach padła bez życia, inna uniosła się jeszcze dalej, lecz i ta stała się w końcu moją zdobyczą.

Na jeden strzał trzy gęsi — no, to jeszcze nie źle.

A więc nie mitrajleza, tylko ręka moja była winą poprzednich niepowodzeń, i gdybym był wcześniej pomyłkę mą spostrzegł, mogłem z łatwością 10 do 15 gęsi, a może i parę dropi ubić.

Działanie małych kulek stożkowych było imponujące. Dwie z ubitych gęsi były całkiem na wzdłuż, trzecia na poprzek przestrzeloną. U ostatniej były nadto oba loty złamane. Odległość strzału, po następnem badaniu, wykazała dobrych 130 kroków. Wnoszę jednak, że strzał z opisanej mitrajlezy także na 200 kroków i dalej dla największego ptactwa musi być śmiertelny.

Po tem pięknem zakończeniu polowania, tak nieszczęśliwie rozpoczętego, wróciłem do domu. Podpułkownika zastałem już z powrotem. Uskarżał on się, że gęsi nie dały się na strzał podjechać i przywiozł tylko jedną młodą posiewnicę, którą zbłąkany śrut w prawe oko ugodził.

Smaczny obiad zakończył naszą wycieczkę myśliwską, i już o 4-tej popołudniu wracaliśmy do Pesztu, wprawdzie nie całkiem z łowów zadowoleni, ale odświeżeni i wzmocnieni całodziennym pobytem wśród pięknej przyrody.

*J. M.*

# KORESPONDENCYE.

Olejów we wrześniu 1892.

**(Walka o kochankę).**

Miesiąc sierpień gorący, upalny dobiegał do swej połowy. Z utęsknieniem wszystkie stworzenia wyglądały ranka, który im zdrową i chłodną przynosi rosę. W taki poranek, który nastąpił po parnej nocy, wyszedłem przed wschodem słońca na pole, leżące opodal lasu, a zasiane hreczką, na którym to łanie już dnia poprzedniego widziałem kółko wydeptane w hreczce przez rozognione rogacze, goniące za łańkami. Chciałem się igrzyskom weselnym mych ulubionych stworzeń przypatrzyć.

Gdym stanął na miejscu, słońce ledwie z za góry trysło snopem tysiąca promieni, i kąpało je w kroplach rosy, która na każdem dojrzałem ziarnku gryki tworzyła dyament najczystszej wody, mieniąc się we wszystkich kolorach, tak, że przed ich blaskiem trzeba było mimowolnie oczy przymrużać. Czas był cichy, bo to już jesień, więc żaden ze śpiewaków się nie odzywał, muszki jeszcze spały, więc i brzęku owadów nie było, jeden tylko głos słychać było z lasu: bek rogacza, który albo swą kochankę do miłośnych igrzysk wzywał, lub rywala do walki.

Spoglądnąłem w kierunku głosu tego i ujrzałem głowę rogacza, wychodzącego z lasu. Rogi jego rysowały się ślicznie na tle wschodzącego słońca. Stanął na krańcu lasu, głowę wzniósł wysoko, a buta i odwaga dwa razy tak wielkim go robiły. Beknął dwa razy, a para mu z pyska wychodziła, łyżki i głowę w stronę lasu zwrócił. I niebawem z drugiego rogu lasu wyszła sarenka cieniutka, elegancka, z minką niewinną a jednak ciekawą; zoczyła rogacza, i w kilku zgrabnych skokach przeskoczyła drogę, dzielącą od łanu hreczki, na którem zabawa weselna miała się odbywać. Rogacz jeszcze raz cichym głosem beknął, głowę w dół schylił i w ślad za łańką pospieszył. Zaczęła się gonitwa po polu, gonitwa szalona w kółka, które za każdem obiegnięciem się zmniejszały, ona naprzód z głową wzniesioną, on z szyją wyciągniętą prawie po ziemi. Bieg ten był tak chyży i w tak krótkich kręgach, że się zdawało, iż obie sarny pochyło biegną, i lada chwila która z nich się przewróci. Stałem dobrze ukryty w wąwozie drogi, i sarny zobaczyć mię nie mogły, zresztą nie starały się patrzeć ku mnie, tak były miłosną gonitwą rozognione i zaślepione. Z pod nóg ich wyskakiwały ziarnka hreczki i krople rosy i spadały deszczem w około. I już w tem miejscu, gdzie się gonitwa odbywała, w wysokiej hreczce wydeptaną była ścieżka a sarny się goniły i to coraz zawzięciej...

Lecz wtem bek drugi, donioseły i groźny dał się słyszeć z lasu. Obie sarny przestały się naraz gonić, głowy i łyżki w stronę lasu zwróciły i nasłuchiwały. Beknięcie doniosłe powtórzyło się, łańka odskoczyła zgrabnie na bok, a rogacz stał jak wryty, iskry mu w oczach zabłysły.

Oba rogacze stały w znacznej odległości od siebie, grobowo becząc. Nowo przybyły rogacz, mierząc przez chwil parę odległość, dzielącą go od rywala, tupał nogą o ziemię i beczał, posuwając się zwolna ku niemu z głową spuszczoną, gotową do ataku. W tej chwili spoglądnąłem na łańkę: stała z głową zwróconą ku obu rogaczom, co chwila ją spuszczała, skubiąc trawkę, lecz widocznie była zajęta i zaniepokojona, gdyż od czasu do czasu, strzygąc łyżkami, wzrok swój zwracała to ku jednemu, to ku drugiemu rogaczowi. Upłynęło pewnie pięć minut, nim rogacz przybyły zbliżył się w tej samej postawie do pierwszego, który także zaczął tupać nogą, becząc cicho, lecz groźnie. Nareszcie, gdy już były od siebie tylko na dziesięć kroków oddalone, spuściły głowy, i przyklęknąwszy prawie, uderzyły na siebie. I co chwila potem odskakiwały i przyskakiwały do siebie, chcąc z boku przeciwnika ugodzić rogami, lecz zawsze się ich rogi spotkały, i to tak silnie, że donioseły łoskot od uderzenia wieńców słychać było. Czasem odskakiwały od siebie na pięć do sześciu kroków, chcąc widocznie jednym zamachem ugodzić rywala i powalić.

Będąc dobrze ukryty, a wiedząc, że ta walka długo jeszcze trwać będzie, aż się siły którego z walczących wyczerpią, skorzystałem z chwili i wzrok swój zwróciłem ku sarnie. Ona się już nie pasła, lecz widocznie zajęta przebiegiem walki, patrzyła na nią z wytężeniem, zwracając wzrok swój to ku jednemu, to ku drugiemu rogaczowi, tak jakby odgadnąć chciała, kto będzie zwycięzcą, który z rogaczy zasłużenie ją sobie wywalczy. Pewnie znowu z dziesięć do piętnastu minut upłynęło, jak słychać było łoskot uderzających się rogów, głośne prychanie i sapanie walczących. Para z nozdrzy buchała im, jak z miechów, walczyły zawzięcie, ale walka zdawała się być równa, nieprzechylająca się ani na jedną, ani na drugą stronę.

Wtem jeden z walczących się potknął, rogi się nie zetknęły, i o mało co drugi rogacz potykającego się nie trafił w samą szyję. Ale ten to zmiarkował, obrócił na miejscu i zaczął uciekać! Zdawało mi się, że to koniec walki, że

uciekający pobity i zwycięstwo odniesione, lecz się myliłem, bo to był tylko fortel wojenny. Uciekający rogacz, goniony przez drugiego, ubiegł ledwo kilka kroków, nagle obrócił się i odskoczywszy w bok, w jednem okamgnieniu uderzył goniącego pełnymi rogami w brzuch, tak, że uderzony zaraz się przechylił i upadł. Zwycięzca stał z głową dumnie wzniesioną, a ja na rogach jego krew zobaczyłem; aż po pierwszą odnogę miał rogi krwią zbroczone. Beknął, i z zadowoleniem spoglądał na swą ofiarę, lecz nie pastwił się więcej.

Skaleczony rogacz z trudnością powstał, i wolnym krokiem zdążał ku lasowi. Szedł z głową spuszczoną, a co chwila stawał i rany oblizywał. Widziałem dokładnie, jak z dwóch okrągłych ran broczył — nareszcie zniknął w zaroślach. Szukałem go potem, lecz nigdzie go napotkać nie mogłem, i nie wiem, czy się wyleczył, czy też zginął z ran w walce miłośnej otrzymanych.

Skierowałem teraz oczy na łańkę. Ona od chwili, gdy tylko walka na korzyść jednego z rogaczy się obróciła, odbiegła dalej na pole; nie miała już trudności w wyborze męża, bo pozostał tylko jeden z rogaczy, a ten ją sobie dzielnie wywalczył. Zwycięzca ku niej podążał, ale wolnym krokiem, widocznie był bardzo znużony, a choć pewny, że mu już kochanki nie odbiją, zawsze z niedowierzaniem obracał się ku lasowi. Łańka go ciągle wabiła do dalszej zabawy miłośnej, bo ciągle w kółko biegała koło niego w zgrabnych swych skokach, lecz on stał, patrząc z zadowoleniem na tę, która go tyle kosztowała trudów. Dopiero, gdy sobie odpoczął nieco, beknął donośnie i wesoło. Było to hasłem do dalszej gonitwy zgrabnej i szalonej, i nikt już im nie przeszkodził w miłośnej hulance.

Tak to te nasze piękne zwierzęta walczą o swe towarzyszki życia; ten czy tamten będzie przez nią wybrany, byle ją sobie dzielnie wywalczył, byle był zwycięzcą na placu boju! Czemuż wyżej ukształcone istoty nie walczą tak o swe bogdanki? Ileżby one to więcej uroku dla nich miały, gdyby krwią własną były zdobyte, znacznie więcej, niż wtedy, gdy od nich samych to przyzwolenie jako jałmużnę dostają, choć im ani na sile, ani na odwadze do walki nie zbywa. Czemuż tak jest, kiedy przyroda inaczej każe?...

*Aleksander Wodzicki.*

---

Wola Małnowska (pod Krakowcem) 14. września.

**(Zadziwiająca poufałość dzikiej kaczusi.)**

Mam znajomego, a nawet powinowatego, bardzo poczciwego człowieka, choć nie myśliwego, który nieraz żartując u swoich sąsiadów, zapalonych Nimrodów, opowiada, że u niego kozły i zające tak są dobrze tresowane, iż w razie potrzeby zgłaszają się same do kuchni. Zdaje mi się, że sama ta anegdotka powinna, jeżeli nie inne zasługi, wyrobić swemu autorowi niepoślednie miejsce między myśliwymi. Lecz wspomniawszy o tem tak, tylko nawiasem, przychodzę do opisania faktu bardzo podobnego, a co ważniejsza najrzeczywistszego.

Mam obok domu niewielką zarybioną sadzawkę, na której (niestety!) od świtu do nocy buszują moje własne kaczki. Wczoraj wieczorem wywabieni zostaliśmy oboje z moją żoną niezwykłym gwarem przed kuchnią dworską. Wyszedłszy, dowiedzieliśmy się od rozpromienionej opiekunki drobiu, że kacze towarzystwo powiększyło się o jednego członka, a gwar powstał tylko z tej przyczyny, że spierano się, która właściwie kaczka jest nowo przybyła. Rzuciwszy okiem od niechcenia na stadko kaczek, smacznie zajadające jakieś ziarno na mostku u drzwi kurnika, odkryłem zaraz nowego gościa w osobie samicy „płaskonosa“ (*Löffelente*), której widocznie towarzystwo swojskich kuzynek czy kuzynków tak przypadło do gustu, że dała im się uwieść aż do drzwi kurnika, nie zważając wcale ani na drób, ani na ludzi i psy kręcące się tuż obok — ani na moją wyżlicę, która w tej chwili dziką kaczkę na mostku przed kurnikiem (wyraźnie) wystawiła.

Nie chcąc naruszać praw gościnności, i ulegając prośbom mojej żony, wstrzymałem się w myśliwskich zapędach na całość tej rozczulającej kaczusi, próbując, czy nie da się z swojskimi towarzyszkami zapędzić do kurnika. Jednakowoż na progu instynkt zachowawczy wziął górę, i poufała kaczulka frunęła z powrotem na sadzawkę. Spróbowano powtórnie zapędzić do niej kaczki, i w tej chwili połączyła się z nimi, wyszła nawet na brzeg gdzie im nasypano pośladu, jednakowoż zapędzić się nie dała, a dziś rano z tego kaczego romansu pozostało już tylko wspomnienie. *A. P.*

---

Stryj 25. września.

**(Sprawozdanie z polowań błotnych).**

Sezon polowań błotnych ma się już ku końcowi, może więc nie od rzeczy będzie przesłać szan. Redakcyi „Łowca“ kilka słów o nim. Niech będzie uwieczniony w szpaltach „Łowca“, i niech kiedyś naszym wnukom, którzy, nie wiem, czy będą jeszcze mieli co strzelać na niknących coraz bardziej błotach, służy do rozpamiętywania, jak się ich dziadowie bawili.

Już to z czystem sumieniem przyznać trzeba, że tegoroczny sezon błotny, był, co się zowie, dobry.

Ciąg dubeltów wypadł nadzwyczaj pomyślnie — niezliczone ich mnóstwo zapadało na na nasze łąki i błota — ale, że wskutek szeroko rozlanych wód, teren do polowania był bardzo ciężki—bo po kolana trzeba było brodzić w wodzie, nim się do suchszej trochę łąki dostało — więc też nie padło ich tyle, ile paść było powinno. Pierwszego dubelta zastrzeliłem tego roku dnia 24. lipca na małej łące pod Zapłatynem, obok Stryja. Od tego czasu przebywały u nas dubelty ciągle aż do końca sierpnia. Najpiękniejszy ciąg dubeltów był z początkiem sierpnia. Polowałem na nie na błotach pod Stryjem i na błotach Medenickich. Przy dobrym psie, za jakiego mój „Trop“ uchodzi, można ich było do 30 sztuk dziennie zabić.

Kszyki pojawiły się tego roku w naszych stronach dosyć późno, ale też za to w takiej masie, o jakiej się nie ma pojęcia, jeżeli się tego nie widziało. Z początkiem sierpnia padało ich dziennie z ręki jednego myśliwego po 25 sztuk, a raz nawet dwóch myśliwych zabiło w ciągu dwóch dni 116 sztuk kszyków. Kszyki tego roku dosyć są tłuste — lot mają łatwy, dosiadywały wskutek panujących upałów twardo, tak, że je pies dobrze mógł wystawiać, a i strzał do nich był łatwy.

I kaczek było dosyć — szczególniej krzyżówek. Przelatywały jednakowoż w wielkich stadach ponad rozlanymi wodami i do strzału były nadzwyczaj trudne, tak, że w sierpniu nie było właściwego na kaczki polowania. Padało ich też stosunkowo nie wiele.

Przepiórki znajduję na polach w dosyć wielkiej ilości; szczególnie blisko wody, koło rzeki lub bagna, jest ich dosyć i często spotykałem stadka po 6—8 sztuk razem.

Rzecz szczególna, że derkaczy tego roku było bardzo mało. Wprawdzie nigdy się na nie nie łakomiłem, bo to

i strzał do nich nie robi żadnej satysfakcyi i zdobycz licha, a przytem psa tak męczą, że lepiej, iż ich tego roku mniej, niż zwykle.

Niepomyślnie — tak, jak zawsze — brzmi raport o kuropatwach. Rzecz godna zastanowienia, dlaczego w okolicach Stryja, tak bardzo do chowu kurupatw odpowiednich, pomimo starania ze strony Towarzystwa myśliwskiego, tak mało kuropatw?

Stan zajęcy na polach bardzo ładny; jest nadzieja, że i w kniei będzie ich dosyć.

## Sprawozdania łowieckie.

— W dobrach Wysockich JW. p. hr., Stefana Zamoyskiego w rewirach lasowych i polnych zabito od dnia 1. lipca r. 1891 do 1. lipca 1892. razem: 6 dzików, 20 rogaczy, 533 zajęcy, 106 lisów, 7 wydr, 3 kuny, 1 tchórza, 3 łasice, 27 kaczek, 13 cyranek, 46 kuropatw, 91 przepiórek, 2 słonki, 7 kszyków, 1 dubelta, 13 chruścieli, 4 kurki wodne, 3 kurki łączne, 3 siewki, 8 turkawek, 5 łabędzi, 1 nura, 13 czapli, 2 orły, 92 jastrzębi, 11 kruków, 1 kulona stepowego, 7 kulików, 106 psów, 244 kotów, 257 wron i 117 srok.

*J. Lityński*, nadleśniczy.

# KRONIKA.

*Z rozpoczynającym się sezonem polowań kniejowych, udajemy się z prośbą do szanownych Delegatów gal. Towarzystwa łowieckiego i wszystkich naszych przyjaciół i czytelników, aby nam przysyłali jak najszczegółowsze relacye z polowań, w których będą brali udział.*

**Kalendarz „Łowca“ dla myśliwych i leśników na r. 1893**, ozdobnie oprawny, wraz z obszernym notatnikiem do zapisków łowieckich i leśnych, jest już na prasie i będzie w ciągu tego miesiąca gotowym. Do 1. listopada przyjmuje jeszcze prenumeratę po 1 złr. za egzemplarz kalendarzyka: Redakcya „Łowca“ i *Magazyn broni A. Dzikowskiego we Lwowie.*

**Dworskie polowania.** Podczas ostatniego pobytu cesarza Franciszka Józefa w Ischlu, odbyły się polowania na jelenie i kozice. Sprzyjał im czas najpiękniejszy. Na polowaniu dnia 20. sierpnia w okręgu Weisenbach ubił cesarz jelenia i 12 kozic; 11 kozic padło jeszcze pod strzałami innych uczestników polowania. Dnia 22. sierpnia udał się cesarz o 3-ciej godzinie nad ranem z przystanku Steinkogel powozem do Offensee, gdzie wzięto kilka miotów i ubito 4 jelenie i jedną łanię.

**Wilki.** Czern. *Gaz. Polska* pisze: W br. rozmnożyły się wilki we wsi Russamoldawica czyniąc mnogie szkody. Dnia 24. sierpnia tamtejszy zarządca lasów i domen Kochanowski spędził kilka wilków, które przed kilku godzinami rozdarły cielicę i zarządził następnego dnia obławę. W miocie zdybano 7 sztuk tegorocznych wilków, z których dwie sztuki zabito. Następnego dnia polowano dalej i przydybano znowu 3 sztuki wilków, które jednakże niestrzelane uszły.

**Napad niedźwiedzia.** „Pet. List.“ donosi, iż niedawno w pow. Peterhofskim, w pobliżu wsi Staraja Bura, pastuch pasący stado bydła został pokąsany na śmierć przez niedźwiedzia. Widocznie zwierzę napadło na pastucha podczas snu, gdyż żadnego śladu walki na trupie nie zauważano.

**Ostatni niedźwiedź** w górach Olbrzymich, w Czechach, niedaleko najwyższego ich szczytu, padł dnia 10. sierpnia r. 1802. Ważył on 280 funtów. Od tego czasu nie spotkano się już z mysiem w owych górach.

**Długowłosy kozioł.** Do monachijskiego pisma łowieckiego *D. Jaeger* donosi jeden z myśliwych, iż d. 10 sierpnia br. zastrzelił kozła o parostkach sześciokońcowych, okrytego na grzbiecie i po bokach siercią od 4 do 6 centymetrów długą! Rzecz szczególna, że pięć dni przedtem ubił tenże sam myśliwy o dwie mile od tego miejsca równie tęgiego kozła, który nie miał wprawdzie sierci tak długiej, ale zawsze dłuższą od normalnej. Należy to niewątpliwie do zjawisk bardzo rzadkich i musi chyba jakimś wyjątkowym warunkom żywienia w pominionej kniei być przypisane.

**W Czechach**, na stawach Frauenbergu, należących do ks. Schwarcenbergów, odbyto niedawno polowanie, przy którem około 600 sztuk rozmaitego ptactwa wodnego zostało ubitych. Na uwagę ornitologów zasługuje okoliczność, że między innymi padła cyranka wąskodzióba (*Querquedula angustirostris*), mieszkanka wód podbiegunowych, w Czechach dotąd nie widziana, i Ogorzałka (*Fuligula marila*) zazwyczaj przelotna, która po raz pierwszy na stawach tamtych się gnieździła.

**Czy ryś pożera padlinę?** Pytanie to, zwłaszcza w niemieckich książkach i pismach, jest jeszcze zawsze aktualnem. Zoologowie niemieccy chętnie jeszcze przypisują rysiowi rycerskie popędy, twierdząc że tylko na żywą zdobycz się rzuca i świeżo zagryzioną pochłania. Przeciw temu twierdzeniu, jako błędnemu, które się tylko dlatego dziedziczy, że przyrodnicy niemieccy chętniej przysięgaja na stosy zapylonych książek, niż na własne spostrzeżenia w żywej naturze, wystąpił świeżo w jednem z niemieckich pism myśliwskich bar. G. Wassilko z Berhometu na Bukowinie. Zwalcza on je faktami i przytacza co następuje:

W r. 1876 w rewirze „Szypot“ została sztuka bydła przez wilki rozdartą. Zaprawiono ją następnego dnia strychniną i niebawem znaleziono przy niej strutego rysia. Na jednej z połonin zaprawiono strychniną padlinę dwóch owiec. Porzucono je jako przynętę na wilki, tymczasem dnia następnego znaleziono przy nich dwa strute rysie. Ryś, zwłaszcza starszy, nie jest w wyborze żywności wybrednym, byle to tylko było mięso. Pewnego razu rzucił się ryś na pasącą się w lesie świnię, odpędziły go inne świnie, wtedy chciał chwycić gęś, ale go chłopi dopadli i kołami ubili.

**Wyprawa na wieloryby.** Cesarz niemiecki, Wilhelm II., polował tego lata jak wiadomo na wieloryby. Z wyprawy tej donoszą co następuje:

D. 15. lipca udał się był cesarz wraz z pięcioma osobami swego otoczenia na statek wielorybniczy „Dunkan Grey“. Reszta świty wsiadła na drugi podobny parowiec „Nancy Grey“. Oba statki sa własnością bogatego wielorybnika Jana Gjäver, który towarzyszył cesarzowi; syn jego umieścił się na drugim statku.

Oba statki są krótkimi, do 20 metrów mierzącymi parowcami śrubowymi, zdolnymi do jak najszybszych zwrotów, ale mimo największej czystości zawsze właściwym sobie zapachem tranu przepełnione. Są one zaopatrzone w dwa maszty, przygotowane w danym razie do zamiany siły pary na wiatr i żagle, i pomalowane całkiem na czarno. Pokład statku wystaje zaledwie na kilka stóp nad powierzchnią morza, a w tyle znajduje się mała, wąska kajuta. Na przodzie parowca, który nie wydłuża się w szpic, lecz jest zaokrąglony, mieści się armata wyrzucająca harpun. Jest ona krótka i łatwo na wszystkie strony daje się obracać. Do tej armaty wsuwa się harpun do półtora metra długi, zakończony żelaznym, do ścian lufy ściśle przystającym walcem, który dochodzi aż do ładunku armaty. Harpun uwiązany jest na linwie za pomocą pierścienia żelaznego, który po sztabach konstrukcyi wolno się porusza. Gdy armata jest nabitą, wówczas pierścień z linwą znajduje się u góry harpuna, w chwili jednakże gdy

harpun przez eksplodującą siłę ładunku zostanie wyrzucony, zsuwa się pierścień z linwą na sam dół harpuna. Przed strzałem jest odpowiednia część linwy rozwinięta i wolno koło armaty złożona, reszta linwy, będąca w głębi statku, biegnie przez koła i bloki przyrządu, który ją z łatwością rozwija, gdy wieloryb trafiony ciągnie harpun z sobą, lub zwija, gdy idzie o to, aby ubitego wieloryba do statku przyciągnąć. Należy jeszcze dodać, że harpun, kończący się potężnym trójkątnym grotem, jest także zaopatrzony w granat, który po ugodzeniu zwierza eksploduje. Eksplozyę sprowadza samo uderzenie, rozbijając szklanne naczyńko z nitrogliceryną, która granat zapala, podczas gdy sztaby żelazne harpuna rozskakują się i w ciało ugodzonego potworu wbijają się nakształt haków wędki.

Wiatr dął zimny, gdy statki o godz. pół do 12-ej ruszyły na otwarte morze. W miejscu, gdzie na dzień przedtem sygnalizowano wieloryby, nie znaleziono ich wcale. Dopiero o godzinie 6-ej pod wieczór, majtek siedzący w jaskółczem gnieździe na maszcie, dał znak, że widać wieloryby. I w istocie ujrzano wkrótce na widokręgu liczne fontanny wyrzucanej przez wieloryby wody. „Dunkan Grey“ puścił się w tym kierunku i już po czterdziestu minutach jazdy znalazł się wpośród wielorybów. W 22 minuty później dano strzał do najbliższego potworu, i wnet wielka kałuża krwi wskazała drogę, którą ugodzony wieloryb umyka. Z pięć minut ciągnął on statek za sobą, lecz potem nastąpiła eksplozya granatu i potwór znikł pod wodą. Niebawem wyciągniono go nieżywego i umocowano przy jednym z boków okrętu. Jazda z powrotem odbywała się w skutek tego bardzo wolno i dopiero o godz. $1^1/_2$ był cesarz Wilhelm z powrotem na swojej fregacie „Kaiseradler“.

Także i „Nancy Grey“, po dwugodzinnej pogoni za wielorybami, przyszła do strzału i ubiła wieloryba, mierzącego przeszło 15 metrów długości. W całym przebiegu łowów było wiele chwil interesujących i budzących silne wrażenia.

---

**Olbrzymy wodne.** Z Stargardu donoszą, że w jednem z pobliskich jezior tamtejszych ułowiono szczupaka, ważącego trzydzieści funtów a mierzącego 115 centym. W żołądku jego znaleziono na pół strawionego pięciofuntowego lina.

W zatoce morza Niemieckiego koło Bohnsack ułowiono w czerwcu b. r. jesiotra, którego długość wynosiła półczwarta metra, objętość w środku 132 centym., a waga 421 funtów.

---

**Rybołowstwo we Francyi** stanowi poważną gałęź gospodarstwa krajowego. Z połowu ryb na łodziach żyje 88.890 osób francuskiego pochodzenia, nad wybrzeżami zaś oceanu i Śródziemnego morza, poluje na ryby i kraby przeszło 57.500 mężczyzn, kobiet i dzieci. Sprzedaż ryb na rynkach w r. 1890 przyniosła sumę 106,281.800 fr.; przewyższyła ona o całe 9,550.000 fr. cyfry z lat poprzednich.

---

**Skutki drażnienia zwierząt.** W ogrodzie zoologicznym w Lyonie kilku wyrostków karmiło niedźwiedzia chlebem. Gdy im zabrakło chleba, jęli rzucać do klatki kamienie, przyczem 15-letni Perrin przysunął się do kraty tak blisko, że rozjuszony niedźwiedź schwycił pazurami jego rękę, wciągnął ją przez kratę i zaczął gryźć z taką wściekłością, iż rozległ się chrzęst kości. Koledzy i służba pospieszyli chłopakowi na pomoc. Gdyby nie rozmiary ciała, niedźwiedź byłby wciągnął niezawodnie Perrina do klatki i pogruchotał całego. Z wielkiem wysileniem kilku ludzi zdołało wyrwać chłopca z pazurów rozjuszonego zwierzęcia.

---

**Zwierzęta i muzyka.** W ogrodzie zoologicznym londyńskim dokonano świeżo ciekawych doświadczeń nad wpływem, jaki muzyka wywiera na zwierzęta. Zrana, podczas gdy niedźwiedzie spały jeszcze głęboko, skrzypek usadowił się na pomoście ponad ich klatką i zaczął grać. Najmłodszy niedźwiedź, obudziwszy się, udał się zwolna w stronę, z której wychodziły dźwięki, zbliżając się o ile możności, aby lepiej słyszeć. Skrzypek znajdował się o jakie dziesięć stóp po nad ziemią, na której stoją klatki, więc niedźwiedź, żeby lepiej słyszeć, stanął na tylnych nogach, słuchając uważnie; potem oddalił się i zaczął chodzić tam i napowrót, wydając ciche, łagodne i ledwie zrozumiałe ryczenie. Potem, gdy skrzypek zaczął grać silniej, niedźwiedź stanął znów na zadnich nogach, wysuwając przednie, oraz pysk, po za kraty klatki. Wtedy muzyk stanął przy klatce, grając ciągle, a niedźwiedź, usiadłszy o ile możności jak najbliżej niego, sięgał łapami, jak gdyby chciał instrument pochwycić. Dopiero gdy skrzypce zamilkły, niedźwiedź oddalił sią od kraty i poszedł się wykąpać. Dwa stare niedźwiedzie również obudziły się po pierwszych akordach instrumentu i poczęły słuchać z niezmiernie komiczną uwagą, i oba, stanąwszy na zadnich nogach, przednie i pysk również powysuwały za kratę. Gdy skrzypek umyślnie wziął akord fałszywy, cofnęły się żywo w głąb klatki, jakby przestraszone, a gdy skrzypek zagrał marsza, poczęły maszerować wzdłuż i wszerz do taktu. Na lwy gra wywarła ten sam skutek: wszystkie zbliżyły się, jak tylko mogły najbardziej do instrumentu; jeden z nich kiwał kiścią ogona, jakby takt wybijał, a jedna z lwic odepchnęła go, żeby sama mogła bardziej zbliżyć się do skrzypka. U wilków skutek był zupełnie inny; muzyka przestrasza ich. Wilk pospolity wydął grzbiet i zgrzytał zębami ohydnie. Wilk indyjski zdradzał strach najhaniebniejszy, drżał, jeżył sierść i czołgając się na brzuchu, ukrył się w głębi klatki. Szakale i lisy mniej się bały, niż wilki. Owce przeciwnie, zdawały się być zachwycone i przestawały jeść, aby słuchać skrzypiec. Słoń afrykański nie zdawał się znajdować upodobania w talencie grajka, a może w wyborze sztuki, którą grał. Kłapiąc uszami, wywijając trąbą, zaczął wyć i gwizdać, jak lokomotywa, a przytem bił głową w kratę. Na wszelaki sposób okazywał trwogę i niezadowolenie. Ale największej zadziwienia i niepokoju wywołała muzyka między małpami. Wielkie małpy były raczej wystraszone, niż zachwycone. Młody orangutan obrócił się zaraz tyłem do muzyka i uciekł w górę klatki. Drugi słuchał poważnie, z rękami skrzyżowanymi, a podczas *crescenda* zrobił jakąś uwagę, którą Garner byłby może zrozumiał. Wszystkie zresztą, tak jak inne zwierzęta, objawiały przerażenie przy fałszywych akordach.

---

**O studyach nad mową małp,** które czyni prof. Garner w Ameryce, zamieściliśmy już ubiegłego roku (№ 8) niektóre ciekawe szczegóły. Uzupełniamy je obecnie wiadomościami o niektórych później czynionych doświadczeniach i wnioskach, które z nich dr. Garner wyprowadza.

Uwięziwszy mowę małpią w fonografie, stawiał go Garner w klatce z żywą małpą, aby jej wrażenia i odpowiedzi studyować. Aby zaś dokładniej rozróżniać wyrażenia obawy, gniewu, radości itp., umieścił w otworze fonografu źwierciadło, tak, iż małpa siedząca przed aparatem, mniemała, że ma towarzysza przed sobą. Jeżeli została przestraszoną, przestrzegała natychmiast mniemanego swego przyjaciela przed niebezpieczeństwem, lub pod wpływem innych głosów wyrażała mu różnymi ruchami, łapami i grymasami w towarzystwie głosu swą radość i czułość. Każdemu zmysłowemu uczuciu małpy towarzyszy odpowiedni wyraz twarzy, który widocznie zdradza, co głos chce wyrazić, i dlatego połączono z fonografem przyrząd fotograficzny, a przez to wraz z zanotowaniem głosu miano odbitkę twarzy małpiej. Pobocznie dodamy, że małpy odznaczają się niezmierną ruchliwością twarzy; w jednej prawie chwili okazują się na niej wszystkie możliwe uczucia: radość i gniew, miłość i nienawiść, dobroć i chytrość.

Badania Garnera okazały, że głosy jednego i tego samego gatunku małp są tymi samymi, i że inne małpy je dobrze rozumieją. Gdy fonograf się odezwie głosem przestrogi, wszystkie małpy uciekają, jeżeli wyrazi żądanie pokarmu, wszystkie głodne małpy powtarzają ten głos.

Wielki mandryl, znajdujący się w klatce razem z małymi małpami, znęcał się nad nimi w rozmaity sposób. W jednej ścianie klatki zrobiono tedy dziurę, poza którą stało zamknięte pudło. Do tego pudła małpki zawsze uciekały, gdy je mandryl zanadto tyranizował. Jeżeli mandryl usnął lub leżał spokojnie, pierwsza z małych małp, która wyglądnęła z pudła, wydawała pewien głos, i natychmiast udawały się wszystkie do klatki. Jeżeli mandryl chciał znów schwycić małą małpę, to ta, która spostrzegła jego zamiar, wydała zupełnie inny krzyk, i zaraz wszystkie się schroniły. To samo się powtarzało, gdy fonograf oddawał dwa te głosy. Nawet włoski pewien katarynkarz, który podróżuje z małpą, usłyszawszy głos, pochodzący z nieznanego mu fonografu, zawołał: „To małpa się odezwała“.

Garner usiłował o ile możności wyrazić mowę małp przez nasze litery, lecz napotkał wielkie trudności, gdyż niektóre głosy małp wcale lub tylko niedokładnie mogą być oddane przez litery naszego abecadła. Czasem jest w mowie małp głos, który brzmi, jak „egek“, dalej *o*, czyli *oo*, które brzmi, jak „whoo“ lub też jak „whul“, i znów inny, który ma brzmienie „rarara“. Małpy na ten sam głos kładą trzy lub cztery razy zupełnie inny nacisk, i taki głos z innym naciskiem wyraża zawsze coś innego. Mowa małp nie ma, jak ludzka mowa, osobnego wyrażenia dla każdego przedmiotu, małpa n. p. nie ma odrębnego wyrażenia n. p. dla jabłka, kukurydzy, orzecha kokosowego, banana i t. p., lecz ma osobne wyrażenia dla słodkich lub gorzkich, dobrze lub źle smakujących potraw i t. p.

I jakiż mają cel wszystkie te badania Garnera? Oto chce on udowodnić, że nasza mowa rozwinęła się z tych lub podobnych głosów zwierzęcych, i stara się wyszukać podobieństwo mowy małpiej z mową ludzką. Oczywiście, że przez tę mowę ludzką nie rozumie on mowy wielce wykształconego Europejczyka, lecz człowieka dzikiego, stojącego na najniższym szczeblu cywilizacyi. Aby to módz wykonać, chce Garner podjąć podróż doświadczalną po Afryce. Kazał zrobić odrębną klatkę ze sztab stalowych, która ma go bronić przed napadem zwierząt. Klatkę tę chce umieścić w lasach Afryki, nad rzeką Gabun, gdzie żyją małpy, najbardziej podobne do ludzi, goryle i szympanzy, zamknąć się w niej ze swymi przyrządami i próbować, czy mu się nie uda przywabić goryla lub szympanza, i utrwalić ich głosy za pomocą wydoskonalonego fonografu. Chce dalej, jeżeli mu się to uda, zatrzymać fonografem mowę Hottentotów i „Bushman'ów" i później rozpocząć studya nad tą mową małpią i ludzką, które, jak mniema, udowodnią, że obydwie są jednego pochodzenia.

---

**Szkoła wron.** Jeden z przyrodników podpatrzył następującą scenę: Stara wrona wyszukała wygodne piaskowe odsypisko nad potokiem i usadowiła się tam z trojgiem swych młodych. Otoczywszy się tak członkami rodziny, poczęła patrzeć bystro w wodę, a młode równie uważnie w swą rodzicielkę. Wtem zerwała się stara, uderzyła w wodę i wyniosła z niej rybkę. Młode rzuciły się na zdobycz, ale stara broniła im przystępu do rybki, sama ją uderzeniami dzióba zabiła, a potem znów do płytkiej wody, tuż pod brzegiem włożyła. Następnie, wskakując i popychając dzióbem najsilniejsze z młodych, zapewne synka, zachęcała go do wydobycia rybki, co też synek wśród pociesznych ruchów i wzdragań się, w końcu wykonał. Lecz zaledwo synek miał rybkę w dzióbie, już mu ją stara odebrała i znów do wody włożyła. Widocznie chodziło o wprawę w łowieniu ryb, i to porządnie, po kolei, bo gdy inne dwoje wroniąt chciało się do tego zabrać, odganiała je systematyczna rodzicielka. Co się dalej stało, przyrodnik nie wie, bo nadjeżdżający wóz i szczekanie psa położyły koniec owemu kursowi łowienia rybek.

---

**Sprostowanie.** W Nr. 9. „Łowca" w rozprawie „Z łowieckiej przeszłości" zakradły się dwie grubsze omyłki drukarskie, które sprostować upraszamy. Na stronnicy wstępnej w 1-ej szpalcie w 11-ym wierszu od góry powinno być „Aralskiem" nie Azowskiem a na str. 132, w 2-ej szpalcie wierszu 7-ym od dołu, ma być „*gente*" nie *glute*.

---

**Tych szanownych Członków gal. Towarzystwa łowieckiego, którzy jeszcze dotąd z wkładką za rok 1892 zalegają, uprasza Sekretaryat Towarzystwa o jak najrychlejsze wyrównanie zaległości. W razie, gdyby tego w ciągu b. m. nie załatwili, następne numera „Łowca" nie będą im już posyłane.**

---

*Pojedyńcze numera „Łowca" nabyć można po cenie 50 ct. w. a. za numer w handlu broni p. Alfreda Dzikowskiego we Lwowie ulica Karola Ludwika L. 1.*

---

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Kopernika 30.



Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.